

WAZON IRY-  
ZOWANY

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO  
WYCHODZI 3 RAZY W MIESIĄCU  
REDAKTOR I WYDAWCA IGNACY PŁĄŻEWSKI

ROK WYDAWNICTWA TRZECI - TOM 9

WANDA ZAHORSKA

# WAZON IRYZOWANY

NOWELE

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO  
WARSZAWA





Komputer.

Okladkę projektował  
Jan Pohoski.  
Tłoczono  
w Drukarni Technicznej  
w Warszawie.

83351

BIBLIOTEKA GŁÓWNA  
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0083706

245368

## WAZON IRYZOWANY

Gotard i Józef wyszli na taras renesansowego pałacu. Dzikie wino zwisało z białych kolumn tarasu. W powietrzu miodowo pachniały lipy.

Chłopak stajenny podprowadzał wierzchowce. Jabłkowity arabczyk tańczył niecierpliwie, a gniady anglezowany szłapak strzygł uszami i tryskał ogniem z oczu. Józef czuł się lekko i swobodnie. Przypominał sobie, jak przez sen, gniotącą zmoreę... Leżała mu do niedawna na piersiach, jak rozczapierzone, czarne dłonie. Ale teraz świeży ranek zwiął wszystko. Józef uśmiechał się do starszego brata i cieszył się z każdej linji jego ruchów. Były tak harmonijne, aż odbrzmiwały muzyką w czuciach mięśniowych pa-trzacego.

On sam, niższy i szerszy w barach, niepodobny był do tego wysokiego, urodziwego brata. Przypominał rysami twarzy matkę, ubogą szlachciankę. Ojciec je-go ożenił się z nią wbrew woli rodziny, zachwyciwszy się jej wiosenną urodą i urokiem niepowszedniej du-szy. Upłynęło w pałacu krótkie jej życie, jak w klat-ce. Była niepewna siebie, zbyt ugrzeczniona dla



służby, usuwająca się w cień wobec gości. Ojciec żył małą się wewnętrznie na brak rasy.

— Prosiłem tyle razy, żeby tak nie zaciągać popręgu Lordowi, — gderliwie ozwał się Józef. Jego dobre usposobienie rozwiało się odrazu.

— Jasnie panu sam djabeł nie dogodzi, — sarknął stajenny i zadasany zaczął poprawiać popręg.

— Mógłbyś nie odpowiadać, kiedyś winien i nie starasz się pamiętać tego, co ci mówię, — zaczął Józef z irytacją i natychmiast poczuł, że zachowuje się niewłaściwie. Ale Gotard już go korygował.

— Jeszcze jedna odpowiedź — i otrzymasz zwolnienie, — rzekł krótko, tonem rozkazodawcy. Stajenny mimowoli podniósł rękę do czapki i wyprostował się, jak na baczność. I Józef schylił głowę.

Przecudnie niebałym, miękkim ruchem zgarnął Gotard cugle na swym gniadoszu. Zazdrosnym podziwem ogarnęły go oczy brata. Skoczył na siodło i obaj pomknęły aleją lipowy. Pachniały miodowo białe, osypujące się kwiaty.

Wyjechali na drogę wśród łąk, usnieżonych puchem wełnianek. Rwali z kopyta, stapiając tetno serc z tętnem konia. Upajał ich wiatr gwizdzący w uszach i szybkość pędu.

Na spotkanie ich w oddali ukazała się amazonka. Owiana niebieskim woalem, sadziła ku nim na siwej wierzchołce. Białe chart biegł wyciągnięty za nią.

Józef pierwszy nerwowo zatrzymał konia i rzekł drgającym głosem:

— Księżniczka Tola! Jak wcześniej!

Podjechał ku niej pierwszy, ale ona, nie zauważając go, cała podała się ku Gotardowi. Oświeciła go uśmiechem, jak promieniem wpadającym do ciemnicy. I dopiero po chwili podała Józefowi dłoń w rękawiczce, dłoń, która zeszytywniała w uścisku.

Pojechali naprzód strzemię w strzemię, a Józef, nanowo zgębiony, milcząc, trzymał się za nimi. Błękitny woal zwijał się na wietrze. Niedosięgnięty...

Jedwabisty chart biegł równymi rzutami chudych nóg. Obojętny był, niedostępny dla obcej ręki. Czarne paciorki oczu przeziarały Józefa wyniosłe.

Przeziarały, że jest tym, któremu nie dano w życiu zwyciężać...

\* \* \*

Milczały na półkach książki w bezcennej, tłocznej skórce. Wielowiecznem istnieniem świadcząc o przemijaniu, kryły poza grzbietami o złoceniach i literach, wymazanych uporczywą nienawiścią lat, druk gotyckie, czerwone litery, zawiłe inicjały i winjety, karty iluminowane — prawdziwą i głęboką uciechę dla oczu.

Miękko ubrylowane, faliste kopuły akacji zasłaniały okna. Przyjemny chłód panował w bibliotece nawet w upał. Staroświeckie fotele o wysokich oparciach zachowały na skórze obicia ślad złocen... Między półkami wisiały stare obrazy.

Józef usiadł na ulubionem swem miejscu, w fotelu, przed stołem na jednej nodze, rozgałęziającej się na trzy kolana z lwiami paszczami na zgięciach. Na stole leżał stary wolumin.

Usiadł i jak zwykle, skierował wzrok na portret Mikołaja z Oporowa.

Wisiał naprzeciwko, odcinając się złotą ramą od tła jedwabnej tapety. Dokoła ramy płatały się na jedwabiu złote niteczki zawiłych deseni. Po obu stronach obrazu wznosiły się półki dębowe. Zdobiła ich czoła boazerja z gryfów i lilij.

U góry wisiał obraz tak poczerniały, że odróżnić na nim można było zaledwie kawałek jasno-czer-



wonego płaszcza. Pod nim, ramą dotykając prawie podłogi, wisiał ten portret.

Przykuwał do siebie Józefa.

Tak, to był prawdziwy Oporowski. Jak i Gotard zresztą...

Mała, kształtna głowa.... Kasztanowe, trefione pukle włosów, Na głowie czarny rembrandt z zawieją białych piór.

Rysy ściągłe, duma i gniew na twarzy. Grymas pogardy w linjach idących od nosa. Uśmiech przedziwnego szyderczego okrucieństwa przenikający do kości, jak klinga. Czarne aksamitne ubranie. Rękawy rozcięte, w rozcięciu atłas wiśniowy, rozporek obszyty złotym pasamonem, jak i kaftan, rozchodzący się z przodu na wiśniowej sukni spodniej. Na niej gęsto naszyte złote guzy. Szeroki temblak od szabli, na ukos przez pierś. Z brabanckiej najcieńszej koronki kolet i mankiety.

Z pod aksamitnych spodni, obciśniętych w kolanie pasamonem, spada również koronka na wyłogi butów szerszych u góry.

Jakie małe, kształtne nogi! Co za atłasowe, wypieszczone, podługne ręce! Jedna leży na rękojeści szabli, druga — obejmuje rubinowy, iryzowany wazon ze szkła. Nad tajemniczym migotem szkła—bukiet żółtych róż.

— Ty jesteś prawdziwy Oporowski, pan z panów, — rzekł Józef z westchnieniem i sięgnął po starą książkę. Otworzył klamarki i jeszcze raz z zadowoleniem przeczytał tytuł cennego druku Victorowego z 1518 roku. **Phisionomia hinc inde ex illustribus scriptoribus recollecta magistri Johannis de Glogovia.**

Rozdźwięczność własna pchnęła go do szukania, czy istnieje współrzędność ducha i ciała, do wykry-

wania, jakimi kształtami treść ducha nazewnątrzą się słomaczy.

Przestudjował, co mówią o fizjonomice i kraniologii Arystoteles, Calen, Konstantynus Afer, Hali Habenrage. Jan Versor, Bernard Gordoniusz, wreszcie Lavater, Gall i Spurzheim. Obecnie wertował polskiego kompilatora.

Przerzucał karty i wzrok jego padł na słowa:

„Cum amplitudine et fortitudine virtutis formative“... czytał więc dalej po łacinie:

„Głowa duża, ale zarazem silną oznacza człowieka roztropnego w postępkach, imaginacji bujnej, dumnego, czystego pojęcia, który własnego tylko trzyma się zdania, ma własną wolę, więcej sobie, niż drugim ufa; swoje czyny chwali, cudze poniża, siebie nad wszystkich wynosi, a Arystoteles do lwa go przyrównywa“.

Podniósł wzrok na twarz Mikołaja z Oporowa, pełną pychy i gniewu i powtórzył do niego:

„Więcej sobie, niż drugim ufa, swoje czyny chwali, cudze poniża, siebie nad wszystkich wynosi, a Arystoteles do lwa go przyrównywa“.

Nie, mylił się mistrz Johannes de Glogovia. Ta oto głowa niewielka, a jednakże siebie ponad wszystkich wynosi, jakże innych poniża! I do lwa chyba przyrównać go można! Nie, do tygrysa, zaczajonego do skoku, znającego okrucieństwo, obcego lwiej wspaniałomyślności.

Mikołaj z Oporowa uśmiechał się pogardliwie z zimnem szyderstwem, przenikającym do kości, jak ostrze. Stał wyniosły i pański, a wąska dłoń zaciskała się na rubinowym iryzowanym szkłe.

Z westchnieniem zazdrosem odwrócił od niego Józef oczy. Przewrócił jeszcze kilka kart książki i nagle wypadł z niej pożółkły, gruby papier.



Józef rozłożył go z zaciekawieniem i czytał wyjątek z jakiegoś pamiętnika rodowego, gdzie wśród silva rerum notowano rzeczy ważne ku pouczeniu potomności:

„Ja, Jan na Oporowie, Czarnej Strudze, Połowiecczyźnie etc. etc., obejmując ten klucz po bracie moim, Mikołaju — dzieje onego grzesznika (Boże, bądź mu miłościwi!) ku przestrodze potomnym spisuję, aby się snadź nauczyli namiętnościom swym nie folgować, bacząc, iżby ich na szatańskie manowce nie zawiodły.

„Od pacholeństwa był ś. p. Mikołaj gniewliwy, a ludziom nieprzychylny. Lubił tylko psy i róże. Okrutnie się pastwił nad poddanymi. Gdy ulubiony biały chart nań zawarczał, psa zabił, a psiarczyka mało na śmierć nie zasmagał. Brata starszego w zwadzie o spadek uderzywszy czekaniem, zamordował. Zgoła zdrowia i substancji poddanych swych nie szanując, wielu zabił, z jednego pasy drzeć kazał, a śmiał się, patrząc na to i dworował. Małżonkę, słodką białogłową, co cierpliwie krzyż swój niosła, uderzeniem nogi o śmierć przyprowadził, jako ów wyrodny Nero Poppeę... A chociaż tyran był z niego i gwałtownik, dziwnym jakowymś urokiem serca ciągnął ku sobie. Aż postanowili bracia szlachta z powiatu go wyścigać, jako że sądom urągał bezkarnie, hajdukami węgierskimi się otaczając, a za byle zwadą spadając na dwory zajazdem, jako ów jastrząb drapieżny na kwoki. Najechali tego Oporów, a ś. p. Mikołaj, broniąc się do ostatka i siłą ludzi natraciwszy, poległ od kuli. Tedy pogrzeb uczciwy odprawivszy, konterfekt jego kazałem wynieść do księżnicy, gdzie rzadko kto zachodzi, aby oczom ludzkim zakały rodu nie przypominał. Niedługo potem zaczęło w kołnacie owej straszyć”.

Z trudem odcyfrowawszy staroświeckie pismo, Józef spojrział na Mikołaja.

Uśmiechnął się hardo i urągliwie.

Bezecnik — a serce i oczy ludzkie ciągnący ku sobie.

Pan w każdym calu.

Nagle Józefa zaczęło ograniać przerażenie. Poczuł dotykalnie prawie czyjaś żywa, niewidzialna obecność. Mały czerw niepokoju rozrastał się w smoka o nieskończonych skrętach, dusił sobą dom, dusił przestwór cały i Józef zerwał się i uciekał naosłep.

W drzwiach galerji, prowadzącej do biblioteki, stał Gotard i podnosił ciężką portjerę, Józef nie poznał go i z dzikim okrzykiem odskoczył w tył. Gotard pokiwał głową.

— Nie siedź lepiej w bibliotece. Zabieraj książki do swego pokoju. Każę raz wreszcie zamurować bibliotekę.

— Zawsze zapominasz, że nietylko ty tutaj rządzisz, chciałbym, abyś pamiętał, że każde zarządzenie wymaga i mojej zgody, — kłótliwie zaczął Józef.

A gdy Gotard odszedł, nie podejmując sprzeczek, poszedł do ogrodu, niezadowolony ze siebie, rozmyślając, że Gotard powiedziałby to samo inaczej.

\* \* \*

Józef wszedł do biblioteki. Nie patrząc na ocienioną czarnym rembrandtem głowę, zatrzymał oczy na wąskiej dłoni, obejmującej rubinowy, iryzowany wazon z żółtymi różami.

Mieniący się, przezroczysty, ciemny pons oczarował go.

Gdzieś widział takie szkło rubinowe, iryzowane.



Poszedł do zbrojowni i otworzył wielką szafę gdańską, która stała wśród pancerzy i hełmów. Zaczął wyjmować i przesuwać sewerskie i saskie porcelany z amoretkami i girlandami różyczek, starożytne nalewki, wśród których jedna była z kryształu, uietą w srebro z dziobkiem i rączką w postaci węzów. Wziął na chwilę puhar z konchy perłowej, połączony złotą nóżką z mniejszą konchą, służącą za podstawkę i brał w siebie łagodne srebrzyste tęczowanie perłowca. Odstawił srebrną wazę z lwiami paszczami zamiast uszu i z girładą winogrodu dokoła. Odsunął już niecierpliwie podstawę do talerza opartą na dwóch niedźwiedziach z oczami ze szmaragdów. I dostał się wreszcie do schowanych w głębi szkieł weneckich.

Dojrzał między niemi rubinowy poblask, więc śpiesznie wyjmował ciemno-zielone puhary, fioletowe dzbanki, topazowo-żółte nalewki, matowo-różowe wazony. I wreszcie — oto rubinowy, iryzowany wazon.

Zajrzał do spisu, wiek XVII. A Mikołaj z Oporowa żył za Władysława IV.

Więc to ten sam — napewno ten sam — taki stary — a zaledwie wyszczerbiony ma brzeżek. Miał przedziwne wrażenie; oto przed kilku wiekami dotykały go dłonie dzisiaj umarłe, dłonie członków jego rodu...

Dłonie Mikołaja z Oporowa.

Poszedł do ogrodu i zerwał bukiet żółtych róż. Wstawił je do wazonu i umieścił go na stole w bibliotece.

Usiadł. Objął dłonią wazon, jak tamten. Ale czy przedziwnie estetycznym ruchem tamtego?

Nagle w oczach mu stanęła księżniczka Tola jak klnie konno, powiewając niebieską woalką. Za nią wyciągnięty, równemi rzutami długich nóg bieg-

nie biały chart, o przenikliwych czarnych paciorkach oczu...

Józef powtarzał, wpatrzony w okrutne, wyniosłe oczy, oczy Mikołaja. Chcę być tobą, chcę być tobą... Daj mi twój urok i twoją pańskość.

I nagle postać na portrecie poruszyła się. Ręka obejmujący wazon iryzowany wyciągnęła się naprzód. Nogi, jakby z wyższego schodząc stopnia, stały już przez ramę na podłodze. Szedł bezszelestnie krokami królewskiego tygrysa, z dłonią wyciągniętą, jak na obrazie, tylko nie obejmując nic. Szedł ku Józefowi.

Uśmiechając się wyniosłe i okrutnie, patrzył na żółte róże. I szedł coraz bliżej, bliżej, z wyciągniętą naprzód dłonią, która nie obejmowała nic.

Stanawszy przed stołem, zacisnął dłoń na prawdziwym stojącym przed Józefem wazonie iryzowanym.

Jak na portrecie,

Uśmiech nieczłowieczo-szyderski i okrutny stał się groźny i żywy. I nagle oderwała się dłoń od ciemno-ponsowego szkła.

I oderwała się druga dłoń od rękojeści szabli.

Józef poczuł się mocno ściśniętym za ramiona, stracił przytomność.

Józef szedł galerią niewesoły i apatyczny ku bibliotece. Nie czuł najmniejszego strachu. Chciał tylko zobaczyć, czy róże są jeszcze świeże.

Drzwi od biblioteki były zamknięte na klucz.

Drżąc z rozdrażnienia, chory od nagłego, płomiennego gniewu, który huczał mu we wszystkich tętnicach, jak wicher, zadzwonił gwałtownie.

Wszedł stary sługa.

— Czemu biblioteka zamknięta? — zapytał chmurno.



— A bo kiedyśmy jaśnie pana bez czucia znaleźli, starszy jaśnie pan rozkazał...

— Daj mi zaraz klucz — krzyknął Józef ze wzrastającą nieświadomości dla niego wściekłością.

— Nie mogę, starszy jaśnie pan zabronił.

— Kto tu pan? — zaryczał ochryple Józef i ręką jego skurczem oszalałym mięśni dosięgła twarzy starego, tak gwałtownie, że ten się przewrócił.

Nagle w rozchyleniu portjery ujrzał Gotarda. Był smukły i ciemnowłosy i jedną ręką zgarniał fałdy kotary.

Podszedł do służącego, pomógł mu wstać i wyprowadził.

Nie powiedział ani słowa.

Józef został sam. Ciężko i męcząco biło mu serce. Rozpacz złego czynu rozplątała się po całym nagle obolałym ciele, jak nieznośny, duszący ołów. Wola szalała, nie przełamawszy przeszkody i chciała jeszcze deptać i miażdżyć. Dręcząco pragnął ujrzeć ten wazon zamknięty. Mgła ponsowa przesłaniała mu oczy. Zdawało mu się, że w piersi ma ciemno-ponsowy wazon iryzowany, pełny ciężkich, potwornie ciężkich nieprzelanych łez.

Czekał na Gotarda wyzywająco, czując na ustach swych zmiłowy uśmiech Mikołaja, który okuwał je, jak kalecząca klamra z żelaza.

Ale Gotard nie przyszedł. Po pewnym czasie zapukał tylko lokaj i oddał mu na tacy klucz od biblioteki. Ukłonił się trwożliwie i wycofał co prędzej. Józef poszedł do biblioteki. Nie zwrócił uwagi na portret. Nie czuł go poza sobą, był jakby z nim zrośnięty. Poszedł prosto ku wazonowi.

Żółte róże osypały się, pokryły płatkami stół. I wazon stał pusty, prześwietlony snopem promieni, jak ciemno-ponsowa plama krwi.

Józef szedł do zbrojowni.

Powiodł wzrokiem ponurym i przygasłym po ścianach. Na spłowiałych kobiercach wisiała stara broń, ułożona w kręgi i wachlarze.

Zdawało mu się, że czegoś szuka. Zdjął szablę z gardą ułanów Stanisława Augusta. Wyjął z pochwy obosieczny miecz teutoński z rączką w krzyż. Spróbował ostrza halabardy ze zgniecioną w bitwach tuleją i osękiem do ściągania wroga z konia. Odrzucił kord krótki z poprzecznicą gładkiej rękojeści, zakończonej głowami sępów. Wziął buzdycan z głownią emaljowaną i odśrubował ją, wyciągając ukryty pugiński. Pogładził szablę w pochwie ze skóry marokańskiej, obitej srebrnymi blachami...

I pełen niepokoju i niedosytu ujrzał poczerniały czekan. Gdy wziął go w ręce, poczuł uciszenie, jak po ugaszaniu pragnienia, palącego zmysły.

Siekierka z obuszkim osadzona była na długiej lasce, zakończonej okuciem stalowym i ozdobionej srebrnymi blachami. Na nich — drobny deseń z girland różanych. Takież blachy okuwały obuszek i koniec laski.

Józef obejrzał. Na siekierce były ciemne plamy. Ogarnęło go nagle cierpienie i choroba, jak wtedy, gdy uderzył służącego.

Znalazł osełkę i omijając ciemne plamy, zaczął ostrzyć sam brzeg czekana.

Poczuł na sobie wzrok. W drzwiach zbrojowni stał Gotard, uchylając spłowiełej portjery. Twarz jego była bezdennie smutna.

Józef uczuł się przyłapany na gorącym uczynku. Nie rozumiał, dlaczego. Patrzył na brata chłodno i wyzywająco (czuł to — nie swoim wzrokiem).

— Ostrzysz broń, — cicho powiedział Gotard.

— Ostrzę broń, — nienawistnie przytwierdził Józef.



— Jak tamten...

— Jak ja sam...

Nie rozumiał, dlaczego to powiedział. Wydawało mu się, że on zawsze, od niepamiętnych czasów przychodził tu ostrzyć klingi. Ale kiedy to było? Nie pamięta, kiedy, ale było napewno.

Oczy Gotarda rozszerzyły się ze zgrozą, a na usta Józefa wypełził urągliwy, szyderczy uśmiech, przeszywający swym chłodem, jak klinga.

Gotard odszedł, zapuszczając za sobą kotarę. Józef ostrzył dalej. Nagle zaczęła obiegać go przywiana nie wiedzieć skąd melodia nieskończonej udręki. Zaczął ją nucić. Bezgraniczny, beznadziejny ból rozlewał się po całej jego istocie i dusił za gardło. Wyjąca, dzika, niewyzwolona tęsknota, tęsknota chaosu i otchłani huczała w nieznanej melodji.

Józef przerwał śpiew i wsłuchując się w milknące w nim echa, pytał z przerażeniem:

— Co to jest? Czy znałem to, śpiewałem już kiedyś? A jednak przysiągłbym, że znałem.

\* \* \*

Józef ostrzył znowu czekan w zbrojowni, oparty jednym kolaniem o tyftkową poduszkę czeczotkowego fotela.

Drzwi nieomknięte poruszyły się. Zachwiał się portjery. Do pokoju po perskim dywanie wbiegł biały, jedwabisty chart.

— Chart księżniczki Toli, — pomyślał Józef i z trudnością wydobyła się w nim na wierzch woła, by pogłaskać zwierzę. Miał w oczach obraz jej rąk na jedwabistej sierści. Od tygodnia księżniczka przysłała charta w darze Gotardowi.

Gwizdnął na niego. Chart z nagłym przestraszeniem stulił uszy i poszedł lunatycznie ku niemu.

Józef miękko klepał go po karku, a chart mądrze wpatrzony paciorkami swych oczu, obwachiwał płamy na czekanie. I nagle sierć mu się zjeżyła i zawył z otchłannem, bezmownem, ślepem przerażeniem zwierzęcia, wydanego potwornym i nieubłaganym siłom na pastwę.

— Cicho, — krzyknął Józef nieswoim głosem i machnął czekanem, odpędzając to upiorne wycie.

Chart warknął i z całej siły wbił kły w rękę Józefa.

Ból nagle obudził w nim wściekłość. Zanim pomyślał i zrozumiał, cios obuszka spadł na głowę psa.

Chart przewrócił się, cienkie jego nogi drgały na czerwonych i sza firowych deseniach dywanu. Pysk wydłużył się, sączyła się z niego wążutka smużka krwi.

Józefowi oczy zaszyły rubinową czerwinią — ta mała, gromadząca się na dywanie kałuża krwi zaczęła kształtować się w rubinowy, iryzowany wazon.

Choroba i cierpienie ciężkim, rozpalonym ołowiem rozsadały jego tętnice, dusiły za gardło.

I nagle zrobiło mu się lekko. Wydało mu się, że się obudził. Patrzył na psa, który już sztywniał. Nie czuł żadnego związku z chwilą poprzednią. Nie miał żadnego z nią współdrgania ani w mięśniach swych, ani woli.

Tak pięknie i lotnie mknął chart po polach. Niosły go błyskawiczne skróty systemu mięśniowego, jak z żelaza! A teraz — ta gęsta, lepka i obrzydła krew u pyska.

Wszedł Gotard. Rzucił się do charta. Podniósł pysk. Czarne paciorki oczu wśród jedwabistego włosa nie drgnęły. Położył go z powrotem na dywan. Zwrócił na brata wzrok zmartwiony.

W oczach Józefa były łzy.



Gotard podszedł do niego i objął go mocno.

— To znowu jesteś ty. Wróciłeś do siebie, bracie.

Co było ze mną? Błąkałem się w ciężkiej mgłę. Czy to ja to zrobiłem? Ratuń mnie, to jest poza mną. Dusza moja o tem nic nie wie.

— Byłeś niezdrow, — mówił Gotard, blednąc, — teraz znowu będzie po dawnemu. Obiecay mi tylko, nie chodzić do biljoteki i do zbrojowni.

— Och, dobrze! Na piersi mi leżały potworne, czarne, rozczapierzone dłonie. Chodźmy na słońce.

Wyszli do ogrodu, Józef zdziwił się, że napotkali ogrodnicy zdaleko schodzili mu z drogi. Weszli w strzyżony szpaler grabowy i pod białym posągim nimfy zasiedli w dobrej, poufnej rozmowie.

\* \* \*

Józef stał w oknie swego pokoju na pierwszym piętrze. Wąsy dzikiego wina otoczyły okno, ramę i wpełzały aż na gzyms. Wziął na chwilę spiralę węża, podobną do malutkiego, jasno-zielonego ślimaczka. Pozazdrościł jej nieświadomości i znów zwrócił oczy na szpaler grabowy.

Oni szli tam powoli z twarzami pełnymi uśmiechów, otoczeni swą miłością, jak złotą poświatą.

Blado-różowa suknia księżniczki Toli wydawała się odwróconym w dół kielichem tulipanu. Gotard w białym tenisowym ubraniu obok... Przesuwali się, jak dwie duże jasne plamy na tle ciemnych ścian liścianych.

Szli tak w niewymownem stopieniu się dusz, zapomniawszy nawet o dotknięciu wiecznie niesytych rąk, które umiały się zwierzać z drzeniem rozkoszy.

Oto zasiedli na ławce kamiennej. Mówią, pochyleni ku sobie. Wypowiadają wszystko do dna.

Doznają nieopisanego szczęścia łączenia się dwojga w jedno.

Cicho pluszcze fontanna ciężkimi łzami, łzami bezdenne go smutku dusz odtraconych.

Józef uśmiecha się. Teraz to jest on... Wyciąga ręce, jakby chciał przygarnąć do piersi tych dwoje. Na twarzy jego wytkwita miłość, nie pragnąca niczego dla siebie, a wszystkiego dla swych ukochanych... Wykwita, jak nenufar nad topielą bez dna...

\* \* \*

Józef siedział w bibliotece naprzeciwko portretu.

Dziś nie pamiętał o jego obecności. Stał przed nim ciemno-ponsowy wazon iryzowany z złotymi różami. Przed sobą miał czekan i parę szabl, przyniesionych ze zbrojowni. Ostrzył je wsłuchując się w niesamowity gwizd stali o kamień szlifierski. I śpiewał przywianą niewiedomo skąd melodję pełną bezgranicznej, wyjącej, bolesnej tęsknoty.

W rozchyleniu portjery stanął Gotard.

— Znowu ostrzysz broń, — powiedział cicho.

— Ostrzę, — z rozdrażnieniem odparł Józef.

Gotard z westchnieniem podszedł do stołu. Przyśunał sobie fotel i usiadł naprzeciwko Józefa.

— Przyniosłem ci plan przebudowy pałacu. Zobaczysz, bo jutro zaczynają się roboty.

Józef przypatrywał się planowi. Nagle brwi jego ściągnęły się gwałtownie.

— To ty chcesz rozwalić bibliotekę? — powiedział, wzburzony do nieprzytomności.

— Tak. Jest to resztką starej wieży, ta część domu, psuje styl. Przeniesiemy bibliotekę na pierwsze piętro.

— To skrzydło pałacu będzie moje. Nie dam tu tknąć ani cegły.



— Zobaczmy! Tę jamę niezdrowych oparów przeszłości zniosę bezwzględnie. Dla twego dobra!

— Nie masz prawa.

— Wiesz, że mam prawo... w kodycylach testamentu — z naciskiem rzekł Gotard.

— To wieczne upośledzenie młodszego — wybuchnął Józef.

— Przecie to przez wzgląd na ciebie...

— Sam wiem, czego mi trzeba. Niewolno nikomu ruszać mnie stąd...

Ręką pokazał portret.

Oczy Gotarda rozszerzyły się ze zgrozy, a na usta Józefa wypełził uśmiech okrutny i szyderczy, uśmiech tygrysi.

Gotard obrócił się mimowoli i ujrzał ten sam uśmiech przeraźliwie żywy na ustach Mikołaja z Oporowa.

— Więc dobrze, — mówił zwrócony do niego, — nie chcesz stąd odejść, duchu zły i grzeszny, to ja ciebie zmuszę! Wytracę wszelki ślad twego tutaj istnienia. Najmniejszy, przeklęty ślad twego przekłętego istnienia!

Chwycił wazon z żółtymi różami i z całej siły rzucił nim o ziemię.

Róże rozsypały się i jak ciecz rubinowa, tryśnięły odłamki szkła.

Z dna duszy Józefa nagle wyprostowany i syczący dźwignął się kłęb węży. Własna, przezwyjęta zazdrość i gejzery nienawiści, tryskające z podświadomego chaosu, jakby obce, a zarazem odwieczne wszczępione w duszę — spłotły się w jedno. Księżniczka Tola... Przewaga fizyczna i duchowa Gotarda... Przeciwnostawność tego oto drażniącego i pewnego siebie starszeństwa... Dzika obawa, że zostanie zatarty ślad bytu (Czyj? Chryste Panie, czyj ślad?!).

Ręka Józefa zacisnęła się na czekanie. Usta bełkotały słowa bez związku. Jedna straszliwa, potworna żądza: deptać, miażdżyć, miażdżyć...

Czekan mignął w powietrzu i spadł na głowę Gotarda.

Runął z krzykiem urwanym. Józef uderzył go jeszcze i jeszcze. Potem zaczął deptać nogami tę twarz, tę głowę... (ta głowa cudnie wyniosła. Niech zeszpeconą... księżniczka Tola...).

Stanął. Chciał odetchnąć. W tętnicach rozlała się ciężka choroba i cierpienie, jak ołów.

Nachylił się i podniósł głowę Gotarda. Już nie oddychał. Złożył głowę z powrotem. Twarz była okrutnie zeszpecona ciosami nóg, poczerniała, usta rozdarte, zmiażdżony nos.

W tętnicach zabójcy płynęła ciężka udręka bez wyjścia, potworna męka złego czynu.

Pochylał się nad bratem coraz niżej, nucąc bez słów przywianą niewiadomo skąd, wyrwaną z przedstworzonego chaosu bezdennie bolesną, wyjącą melodię tęsknoty.

A krew z głowy rozbitej rozszerzała się w wielką plamę. I nagle sformowała się w rubinowy wazon iryzowany...

Nie widział, jak zbiegli się ludzie. Coraz bardziej wypełniał się pokój. Ból wzbierał w nim, wzbierał w nim, wzbierał nie do zniesienia.

Nakoniec przerwało się w nim coś, jakby czarna przepona. Przestał nucić. Poczuł się lekko. Widział ciało Gotarda, wiedział, że to on go zabił i nie rozumiał. Czyn ten był odcięty od niego. W żadnych skojarzeniach nie zostało poczucie poruszających się sprężyn jego woli.

Straszliwy żal zatargał nim. Gotard, brat nie żyje i jest oszpecony... On taki piękny i w pięknie rozmiłowany...



Dokoła przerażone półgłosy i szepty. Podniósł głowę i spotkał zmijowy, urągliwy, tygrysio-okrutny uśmiech tamtego.

Wyciągnął ku niemu rękę z przekleństwem:

— Toś ty go zabił, to ty, to ty!

Pytano go o coś, ale spotkano tylko nieprzytomne spojrzenie nazawsze złamanego człowieka.

Kiedy trupa chciano podnieść, Józef nie pozwolił. Dźwignął go sam, tuląc ostrożnie do piersi jego rozłupaną głowę. Zaniósł go do sali, gdzie już ustawiono katafalk.

Sam go ułożył. Sam obsypał naręczami kwiatów, każąc przynosić wciąż świeże i świeże. Przykrył różami twarz straszliwie okaleczoną. Oderwał się z trudnością od ciała.

Odwrócił się do ludzi, myśląc, że życie już się skończyło. Obojętnie dał się prowadzić...

\* \* \*

Józef siedział w swej celi i patrzył przez kratę na maleńki skrawek nieba...

Okienko wychodziło na podwórze więzienne. Kędzierzawy czubek brzozy zaglądał przez kratę i uderzał w nią z podmuchem wiatru. Jak dłoń, która pukała i wzywała.

Wróble ćwierkały. I nagle mały, szary ptaszurek wpadł przez kratę. Obleciał kąty, siadł na podłodze i podskoczył kilka razy nóżkami, śmiesznie podrzucając ciałkiem i kręcąc na obie strony główką. Zoczył na podłodze kruszynę, dziobnął ją i znowu kilka razy podskoczył.

Skamieniałe w mogiłnych snach serce Józefa poruszyło się. Od wielu, wielu dni uśmiechnął się po raz pierwszy. Sięgnął po kawałek chleba na czarnym, żelaznym stole, przyśrubowanym do ściany.

Rzucał okruszyny daleko od siebie, pod okno, żeby brunatno-szary kłębuszek z miniaturowymi oczkami mógł żerować bez trwogi.

Poruszyła się zasuwka judasza. Usłyszał szept wyraźny:

— Proszę patrzeć, panie doktorze. Taki zbrodniarz, tak brata mordował, a tera ptaszki karmi, rozczula się... Oni wszyscy tacy...

I zasuwka zapadła.

Przypomnienie mętną falą lunęło z dna duszy, topiąc bezpowrotnie tę cichą, znikomą, drobnutką chwilę zapomnienia. Józef ścisnął głowę rękami i zakochał się od nieznośnego bólu.

Klucz obrócił się w zamku. Otworzono szeroko drzwi celi i dwóch strażników wniosło duży obraz zakryty płótnem. Za nimi weszło kilku panów. Ukłonili mu się grzecznie. Poznał tego, który już tyle razy męczył go indagacjami, chociaż Józef z reguły nic nie odpowiadał.

Patrzył obojętnie, jak wbijano hak w ścianę i zawieszano obraz. Potem ściągnięto płótno.

Z szyderczym, okrutnym uśmiechem, przenikającym do kości, jak klinga, patrzył na niego znowu Mikołaj z Oporowa.

W oczach obecnych żółta, zaostrożona, chora z cierpienia twarz Józefa Oporowskiego napełniała się bezdennym przerażeniem, jak czara trucizny.

— Morderco, przyszedłeś do mnie, — powiedział więzień i wnet się opamiętał.

Twarcz Mikołaja z Oporowa żyła. Zdawało się, że wnet przemówi.

— Zabierzcie go stąd! — krzyknął Józef.

— Nie, ten portret musi tutaj pozostać, — sucho powiedział sędzia śledczy.

— Wymagam tego, — krzyknął więzień, — możecie skazać, nie macie prawa torturować. Głupi



i mało oryginalny pomysł z „Beatrix Cenci” Słowackiego.

— Czy dlatego, że ten portret ma pewne podobieństwo z ś. p. Gotardem Oporowskim?

— Panu nic do tego!

— Te, Oporowski, — zawoła strażnik, — miarkuj się. Władza przed tobą.

Elegancki urzędnik złył się.

— Tęgo pana prosiłbym traktować względnie, — powiedział ostro do strażnika.

Strażnik usunął się w kąt i mamrotał:

— Traktować! Teraz demokracja! Sługów rozbijał, a tera go traktować!

Sędzia śledczy wysunął się naprzód. Sekretarz trzymał w pogotowiu papier i ołówek do notowania.

— Zabierzemy stąd portret, o ile pana tak denerwuje, — mówił inkwizytor, — tylko proszę nam powiedzieć, jaki jest związek tego portretu z zabięciem Gotarda Oporowskiego. Dlaczego powiedział pan po dokonaniu zbrodni, zwracając się do portretu: — Ty, ty go zabiłeś?

Zwrócił się do sekretarza:

— Ma pan zanotowane w protokóle?

— Tak, panie sędzio.

— Służba świadczy również, że z powodu portretu z biblioteki, gdzie tenże się znajdował, zachodziły nieraz nieporozumienia, między panem, a panem Oporowskim starszym. Ustalono nawet pewną łączność między okresami rozdrażnienia u pana, a przesiadywaniem w bibliotece. Czy może nam pan to wytłómaczyć?

— Nie.

— Dlaczego?

— Nie uważam pana za zdolnego do zrozumienia tych rzeczy.

— Ciekawe! Prowokuje pan władze śledcze, które chcą wyświecić sprawę dla dobra pana tyleż, co dla sprawiedliwości...

— Więc pan uważa, że człowiek z wykształceniem uniwersyteckim nie jest zdolny zrozumieć pana? — wtrącił się starszy pan w szarem ubraniu.

Józef poznał w nim słynnego psychjatrę, na którego odczucie o psychoanalizie Freud'a był kiedyś obecny.

— Wierzy pan w życie zaziemskie? — zapytał.

— No, wie pan, ta hipoteza, nawet będąc w styczności ze zjawiskami medjumistycznymi, jest dość zbędna do konstrukcji czysto-naukowych.

— W takim razie cóż będę mówił ślepemu o kolorach?

— Dla dobra nauki nawet, jeżeli nie dla własnej sprawy, nie powinien nam pan odmówić objaśnień. Jeżeli nie zrozumiemy, albo nie przyjmujemy objaśnienia pewnych zjawisk, psychologię pana zrozumiemy w każdym razie.

— Psychologię moją? — rzekł Józef z nieskończonym szyderstwem, podnosząc głowę nie tym swoim dawnym ruchem, lecz (czuł to dobrze) ruchem Mikołaja z Oporowa, — psychologię moją?

— Więc czy pan udzieli jakich wyjaśnień? — rzekł sędzia ostro, podrażniony.

— Żadnych.

— Mogłyby wyjść na jaw okoliczności łagodzące i wpłynąć na zmniejszenie wymiaru kary. Nawet na uniewinnienie. Jeżeli działał pan pod wpływem niesamowitych halucynacji...

Józef patrzył na portret. Już nie panował nad sobą. Twarz jego wykrzywiona była cierpieniem i zgrozą.

— Zabierzcie go stąd, — krzyknął przeciągle, nieprzytomnie — i wnet się opamiętał.



— Ten portret zostanie, aż pan zacznie mówić — rzekł sędzia twardo.

— Panie sędzio, — zaczął perswadować psychjatra półgłosem, — jeżeli ma to związek z jakimiś halucynacjami, wystawia pan tego człowieka na zbyt wielkie męczarnie. Pomimo dziwnego wpływu tego portretu, wygląda w tej chwili na człowieka normalnego. A co, jeżeli — zwariuje?

— Czy lepiej mu będzie wtedy, czy w tej celi przez całe życie.

— Jakto? To przesądzone? Mówił pan o okolicznościach łagodzących?

— Aby pobudzić go do wyjaśnień. Chciałbym przysłużyć się nauce — sam się zajmuję medjumizmem, tylko naukowo, naukowo... Ale sąd nie może przecie u względnić przyczyn nadprzyrodzonych. Sprawa jego jest dla nas rozstrzygnięta. Chyba przysięgli...

Zwrócił się do Józefa.

— Będzie pan mówił?

— Nie.

— To i portret w celi zostanie.

Odeszli.

Wśród nagich, do połowy czarnych ścian celi zostali sam na sam Józef i Mikołaj Oporowscy.

\* \* \*

Józef patrzył w twarz pełną pychy i okrucieństwa. I rozumiał coraz jaśniej, że on nad nim władzy już nie ma.

— Jak we mgłę, została w nim świadomość tych chwil, gdy przez niego spełniało się złe — tych chwil śmiertelnej udręki i agonji, choroby i cierpienia, płynących w tętnicach ciężkim ołowiem.

Wszedła w nim litość, jak błąd na śniegu pierwszeńek.

— Czyniłeś wiele złego, a więc wiele cierpień, — mówił do Mikołaja.

Lecz ten uśmiechał się ze zmijowatym chłodem, — Ty musiałeś być klątwą naszego rodu! Jakąż to męczarnia! Słuchaj, przecież to ty zabiłeś Gotarda!

Bezdennym smutkiem mieniły się złe i pyszne oczy Mikołaja. A usta uśmiechały się wciąż z okrutnem szyderstwem.

— Tyś wziął mnie we władzę, bo zgrzeszyłem, zapragnąwszy być, jako ty. Tyś winien, aleś ty grzeszny i niewyzwolony. Rzuciłeś mnie w piekło ziemi, w ręce twarde, obce, brutalne. Przyjmuję je do końca życia, przyjmuję przytwierdzeniem wewnętrznem, wolną wolą moją za twe odkupienie!

— Za odkupienie twoje, grzeszny i straszliwie cierpiący duchu mojego rodu!

— Aby była zdjęta wina z tych, co odeszli i z tych, co jeszcze przyjść mogą!

Modlił się w uciszeniu. Zielona gałązka uderzała w okno, jak dłoń pomocna. Cwierkały radośnie wróble.

I wydawało się Józefowi, że dłoń biała i wytwor-na, obejmująca wazon iryzowany, chce się od niego oderwać i nie może...

Jeszcze nie może...

\* \* \*

Sala ponura i oficjalna. Ciemne ławy. Przed stołem z zielonem suknem krzesła z wysokimi oparciami. W ramie ozdób rzeźbionych oparcia uwydatniają się na zielonej skórze głowy nieubłagane i zgryźliwe. Na ławie podsądny z dwoma strażnikami ze stron obu.

Powstał prokurator. Wylicza dzikie, tyrańskie wybryki członka zdegenerowanego, magnackiego



rodu. Wpadł we wścieklą pasję. Bił służbę. Mondo-  
wał zwierzęta. Jest niebezpiecznym i szkodliwym  
członkiem społeczeństwa, którego należy usunąć, jak  
zgangrenowaną część ciała. Okoliczności łagodzą-  
cych nie wykryto. Ekspertyza lekarska żadnych zbo-  
czeń psychicznych nie stwierdziła. Jest to człowiek  
z gruntu, zasadniczo zły, bo po zabójstwie jeszcze  
się znęcał nad trupem brata.

Ciche, bezdennie zaśnione i dalekie podsądnego  
oczy... Dobry, bezgranicznie miłujący uśmiech... Nie-  
świadomie zaplatające się, jak w modlitwie, ręce.

Twardo brzmi głos prokuratora:

— Żądam najwyższego wymiaru kary!

I jak ostatnie stuknięcie trumny o dno grobu py-  
tanie:

— Co ma podsądny na swe usprawiedliwienie?

Józef powstał. Oczy bolesne i smutne ku lu-  
dziom obraca. Na ustach przeczysty uśmiech miłości  
i pokory.

— Jestem winien. Chcę pokuty.

Wzburzone do dna sumienia przysięgłych...  
I jednak większością głosów:

— Dożywotne, ciężkie więzienie...

I kiedy czytają wyrok, sala milczy i nie rozu-  
mie.

Bezdennie smutne, dobre i miłujące podsądne-  
go oczy...

Jestże to ten?

Czy ten, który pokutuje, nie przestał już dawno  
być tym, który zabił?

Otworzono celę Józefa. Powstał szybko z kłę-  
czek, ukrywając chwilę modlitwy.

— Marsz, Oporowski, szaflik nieść rączką pań-  
ską, twój dyżur w kuchni, — wrogo i grubiańsko  
krzyknął strażnik.

Józef poszedł za nim korytarzem i schodami,  
stęskniony za swą samotnością, wzdrgnięty we-  
wnętrznie od przewidywania twardych dotknięć złych  
ludzi.

Razem z kryminalistą o niskim czole dźwignął  
na dragu ciężki szaflik z żurem. Było mu ciężko. Nie  
mógł przywyknąć do strawy więziennej. Pozbawio-  
ny szerokiego powietrza wsi, osłabł w więzieniu. Nie  
miał sił nieść. Mięśnie bolały go nieznośnie, czuł na-  
tężenie aż w mózgu. Idąc po schodach, potknął się  
i wypuścił drag. Zupa lunęła potokiem i dymiąc, po-  
ciekła po schodach.

— Ach, ty gadzino! — wściekle krzyknął stra-  
żnik.

Józef poczuł zawrót głowy. Chwycił się poręczy  
schodów, ale nie utrzymał się i upadł rozbijając gło-  
wę.. Krew pociekła mu po twarzy. Ale w sercu we-  
zbrała radość.

— Za ciebie, Mikołaju, — powiedział w myśli  
i uśmiechnął się cicho.

— Ja ciebie zaraportuję do naczelnika, już ty  
trafisz najmniej na dwa tygodnie do karcu — pienił  
się strażnik, — jaśnie pan dźwigać szaflika nie ra-  
czy! Podnoś go i marsz drugi raz po pomyje dla  
twoich braciszków — złodziei!

Józef otarł krew rękawem i uśmiechnął się do  
strażnika. Ten zakipiał jeszcze namiętniej.

— Nie człowiek ty, — pchnięcia ty nie wart. Ot  
ten — łajdak z pod ciemnej gwiazdy, a jak bym go  
sprął po pysku, gdyby to było można jak za Moskali,  
to wiem, że niechby mnie zdybał, to mnie majchrem  
pod żebro zajechał. A ty na wszystko — przebacze-  
nie. I w pacierzu stoi, że przebaczać, ale taki prze-  
baczący, że bij w niego, jak w bęben, a z niego du-  
dni: „Zmiłuj się nad nami” — to — tfu! Robactwo  
pełzające — i słów niema na wyrażenie, jaki ty



niski! Albo — pycha to twoja pańska, tylko inaczej przebrana.

Józef nachylił się w milczeniu po drogą upuszczony. Kiedy po raz drugi z niesłychanym wysiłkiem wniósł dymiącą zupe na piętro, kazano mu myć podłogę.

— Tak samo chciałbym obmyć wszelki brud tego świata, — modlił się wewnątrz, mozolnie szorując podłogę.

Było mu coraz słabiej. Na oczy zeszła zasłona. Na pamięć zeszło chwilowe szczęśliwe zamroczenie.

Towarzysze-kryminaliści podnieśli go, położyli w celi, i wykonali za niego twardą, brudną pracę.

\*                      \*

Józef klęczał w swej celi, modląc się w wielkim uciśnieniu.

Był ciemny wieczór jesienny. Huczał wicher wśród murów więzienia. Uderzyła gałąź w okno, jak dłoń upiora.

Poprzez ochronne słowa modlitwy Józef czuł złowrogi strach. Trwoga narastała w nim podświadomie.

Czuł znowu żywą obecność. Przychodziła jedna z tych chwil, kiedy tłumiał wrzask przerażenia, a włos po włosie stawał mu na głowie. Nie chciał, żeby widzieli... Żeby nadeszła ostateczna degradacja: ze zbrodniarza — na warjata. Wtedy rozgrzeszyliby go. Wtedy nie byłoby świadomej pokuty.

I nagle przerażenie odeszło.

Obrócił się ku portretowi. Stał tu żywy, wiecznie obecny, dławiający tą obecnością. Zwłaszcza w nocy bezsenne... Pamiętał, jak podszedł do niego kiedyś w bibliotece. Pracował nad sobą, przebacząc ludziom, którzy go z Mikołajem z Oporowa sam na sam zostawili.

Spotkał jego smutne oczy. Ofiarnie wziął w siebie różną boleść jego szyderczego, mroźnego, okrutnego uśmiechu.

Widział, jak porusza się dłoń, obejmująca rubinowy wazon iryzowany. Natężył siłę wewnętrzną w modlitwie. Widział, jak dłoń podnosi się w górę i wyjmuje z wazonu jedną po drugiej żółte róże.

Stapa nogą przez ramę na podłogę. Idzie ku Józefowi.

Józef uśmiecha się cicho i miłująco. Niema w nim trwogi. I nigdy więcej nie będzie. Pokonał strach — i zabił to, co go w portrecie straszło.

Usta jego poruszają się słowami modlitwy za wielkiego grzesznika, Mikołaja z Oporowa.

Twarz Mikołaja mieni się. Teraz na niej wschodzi dobry i nieskończenie smutny uśmiech Józefa.

Idzie ku niemu. Nachyla się nad klęczącym. Rzuca na głowę zamodlonego za jego odkupienie jedną po drugiej precudne, aromatyczne żółte róże.



Tarald stał pod widmowemi zarysami żagli lekko napiętych.

Na niebie podzwrotnikowem nad jego głową błyskały gwiazdy ogromne, jak małe słońca.

Okręt płynął po srebrnem fosforyzującym morzu. Gdzieś odcinał się od jednostajnej płaszczyzny świetlnej płat czarnej wody, zahaftowanej rzadkimi punkcikami świetliczek, albo dziwotworami, bajecznymi deseniami promieniujących niebiesko węzowideł, rozrzucających dokoła ośrodku ciała powyginane linje swych ramion, albo mrużącemi jasną szarością rozgwiżdżanymi, albo podłużnemi trepanami.

Polśniewała niezmierzona srebrna płaszczyzna i wielka srebrna cisza stała pomiędzy niebem a ziemią.

Nagle na krańcu srebrnych pól ukazał się olbrzymi płat czerni i posuwał się naprzód, ryjąc w nich brudę potworną.

Tarald dał znak alarmu. Marynarze zbiegli się na pokład. Stłoczeni przy burcie, stygli w lodowe, śmiertelne osłupienie, widząc przednią część czarnej masy wyrażniającą się wśród srebrnych mżeń w zarys głowy węzowej, kilkakroć szerszej od okrętu, o oczach jak dwa stawki nalane zielonem, jadowitem, chłodnem światłem.

Kadłub ginał w nieogarnionej przestrzeni, niedostępny w swych kolosalnych, porażających wyobraźnię kształtach dla jednorazowego objęcia wzrokiem.

I jednak wśród nieszcześliwych była nadzieja ratunku... Tarald dał rozkaz: wykonać zwrot na przeciwny ciąg, by ująć z drogi potwornej głowy. Sternik z energją rozpaczy, szybko i dokładnie obrócił koło steru i statek, jak cień przesunął się tuż prawie koło paszczy. Załoga skupiła się u brasów wielkiego żagla. A w tym momencie rozwarły się dwie szczęki i błysnęła martwa ściana zębów, z których każdy był jak tarcza wysokości człowieka.

Ale minawszy paszczę, statek znalazł się w zatoce, utworzonej przez wygięcie cielska.

Zebrani na pokładzie ludzie złodowacieli, z włosem wyprężonym, jak drut, z pękającym sercem już tylko myślą krzyczeli: — Boże!

I osłonięty, popychany prężną pierśią wiatru, kierawony straszliwie przytomną wobec zagłady dłonią sternika miał okręt wydrzeć się z fatalnej czarnej zatoki...

Nagle błyskawicznym miotnięciem się waż wzniósł się w powietrze i stanął, jak słup, mącący zmysły nadmiernością. Ku statkowi spuściła się wyszczerzona paszcza i szyderczo lały jady oczy zielone, wielkie, jak dwa okrągłe stawki. Kadłub przestonił księżyc i gwiazdy.

Wśród mgnienia czarnej, wyjącej obłakańczo nocy okręt znalazł się w zębach węża. Tarald strząśnięty z pokładu, jak mały kamień, spadł w chłodne fale.

Wnet się wynurzył i płynąc, dotarł do półkolistego wygięcia węzowego cielska. Obejrzał się dokoła... Śmierć w falach lub w paszczy potwora. A może nie zauważył drobiny ludzkiej na swym potwornym kadłubie... Dotknął dłonią czarnego cielska na srebrnych falach. Było okryte twardymi, chropawymi, wielkimi



łuskami, tak wielkimi, jak tarcze. Uchwycił się jednej łuski i bez trudu wdrapał się na cielsko. Upadł, uderzając głową o twardą powłokę. Oczy miał jakby zawieszone czarną krepą. Leżał długą chwilę, przeżywając w sobie bezdenne przerażenie i rozpacz bez wyjścia. Wkońcu zapadł ni to w sen, ni to w omdlenie.

Kiedy oprzytomniał, leżał na wznak na twardej łusce, a nad nim było bezkresne, szafirowe niebo.

Ogarniał wzrokiem chropawe, gęsto-czarne łuski o tysiącnych wygięciach i guzach, płaszczyznę węzowego ciała, wzniesioną o parę metrów nad wodą i oblana oceanem. Ogarniał wzrokiem i już to z zimnem męstwem, myślał o śmierci, już to kołysał u zmartwiałej piersi nieśmiałą nadzieję ocalenia.

Sądząc z gwałtownego kołysania się olbrzymiego cielska, wąż płynął z przerażającą szybkością pomimo swego ogromu, nie tak, jak wtedy, kiedy zbliżał się do okrętu. Podniósłszy głowę, Torald ujrzał w dali zakręt ogona kilkometrowego zapewne cielska. W pewnej chwili zygzakujący pas przybrał widocznie przy zmianie kierunku takie położenie, że Torald ujrzał płasko położoną na falach głowę ze ślepiami, lejącymi wśród ciemno-szmaragdowych fal jasno-zielone, malachitowe ognie.

Oczy patrzyły przed siebie, potwór widocznie nie wiedział, że niesie na sobie uczepionego człowieka. Może te łuski, tak grube, nie przepuszczają dotknięcia i można stąpać po nich, a wąż nie poczuje? A może najmniejszy ruch zwróci na człowieka uwagę? Rozważając te przypuszczenia, nieruchomo leżał Torald i budował plany ocalenia.

Słońce już dawno osuszyło jego suknie, a teraz na płaskim grzbiecie węża prażyło go nielitościwie. Nagrzane łuski zaczęły silniej wydawać woń obrzydłą, której z początku nie zauważył. Pragnienie go tortu-

rowało. Leżał nieruchomo, długo i z nieskończoną ostrożnością zmieniając położenie zdrętwiałych członków, wznawiając w sobie cierpliwą, niespożytą, nade wszystko potężną żądzę ocalenia.

Krąg słońca zaczął pogrążyć się w fale, gdy na wodzie, wśród białych pian ukazał się, jak sennie marzenie, jak miraż wniebowzięcia atoll uwieńczony palmami. Wydał się oku zielonym pierścieniem, potem djamentem przybranym pióropuszcami. Dokoła, jak wielkie szare gąbki okrągliły się nad wodą rafy madreporowe.

Torald zerwał się i biegł po cielsku, by rzucić się w wodę i dopłynąć do wyspy. Ale nagle błyskawicznym miotnięciem się spiętrzyło się czarne cielsko i półobrotem zwróciło ku niemu paszczę. Otworzyła się czarna paszcza i szyderczy uśmiech martwych, wyszczerzonych zębów rozdarł ciemnoszafirowy widnokrąg podzwrotnikowy. Oczy jak małe stawki lały kaskady jasno-zielonego jadu. Potworna paszcza wydawała się człowieczo-świadoma w swym szatańskim uśmiechu. Zaczęła ze straszliwą, odrętwiającą powolnością zbliżać się ku Taraldowi wciąż nad falami półobrotem wzniesiona...

Było tuż przy nim, gdy równie nagle, zwrotnem śmignięciem odrzuciła się znów w fale. Zakolysał się ocean. Tarald mdlejącym odruchem chwycił się łuski...

I już potwornie szeroki, czarny gad mknął w dal ku celowi, sobie tylko znanemu...

\* \* \*

Waż wiedział o nim.

Torald leżał i odrętwiała go coraz głębiej i głębiej wiedza —

Wiedza, że jest w jego władzy i że nic z niej go wyrwać nie może.



Trwało to długo.

Trwało to wieki całe, chociaż zaledwie parę razy wzeszło słońce.

I znowu w złotych oponach wschodu ukazała się wysepka. Coraz to bliżej... Po za pasem piasków nadbrzeżnych chwieją swemi olbrzymiami rozczapierzonymi palcami daktylowce, kryjąc wśród nich ciemne pęki owoców. Różowe drzewa migdałowe stoją zaśnione, jak rozplływające się w omdleniu szczęścia zorzanne obłoki.

Tam odpoczynek, tam schron...

Położyć się pod tem drzewem różowem i oddychać aromatem i ciszą... I rosami z atłasowych płatków zwilżyć usta spalone własnym oddechem morza!

Ale on jest w czujnej mocy węża... Ale on się wyrwać nie może...

Ponad zielonym gajem palmowym wznosił się cypel samotny, nadmiernie na małej podstawie wyspy wysoki. I ujrzał Tarald na jego szczycie wieżę warowną.

Z białych kamieni cała, stała milcząca, zawarta, skupiona w oczekiwaniu.

Waż zaczął otaczać skrzętem wyspę.

Czarna obręcz zetknęła się z białą linią skał i piasków. Tarald widział tylko tę część koliska, na której sam leżał.

Nagle na zakręcie wysepki koło pierwszego czarnego zwoju ukazała się głowa, leżąca zielone jady przerażająco wielkich oczu. I sunęła wzdłuż własnego cielska, kładąc drugi czarny zwój obok pierwszego.

Gdy głowa znalazła się obok Taralda, tem samem potwornie szybkim śmignięciem waż wznosił się w słup kolosalny nie do objęcia. Nad białą wieżą pochylała się czarna paszcza i wyszczerzyła zęby w uśmiechu człowieczo-świadomym, szatańsko mroźnym i szyderczym. Zęby objęły wieżę i zdjęły, iakby równo

odcięły górną jej połowę. Paszcza wypłuła potok rozsypanych białych kamieni, które padały z wysokości. Wraz z niemi runęły na piasek pomiażdżone ciała ludzkie.

Waż przysuwał paszczę, wybierał z pośród kamieni ludzi i ci jeden po drugim ginęli za murem martwo-łyskających zębów.

Tymczasem z dolnego piętra wysypała się jeszcze garść ludzi, szybko kryjąc się między krzewami zbiegli po zboczu góry w dół i usiłowali ukryć się w zaroślach. Waż roztrącał i przewracał bez trudu drzewa i wyławał wszystkich po kolei.

I nie było schronu przed zagładą.

Na cyplu skalnym, wśród ruin wieży została tylko jedna kobieta.

Stała samotna i nieruchoma, a wiatr lekko poruszał białą zasłonę na jej głowie.

Daremna byłaby ucieczka.

Waż powoli, straszliwie powoli zbliżył do niej czarną zamkniętą paszczę. Człowieczo-świadomy i szatańsko-szyderczy uśmiech wyszczerzonych zębów rozdarł szafirowe niebo podzwrotnikowe. Wświecił jej na wieczne zapamiętanie ten uśmiech w duszę, otrutą jasno-zielonym malachitowym jadem oczu.

Potem nagle śmignięciem zniżył głowę i z tą samą katowską powolnością zbliżał się półobrotem cielska ku Taraldowi, wciąż uczeptionemu do jego łuski cuchnącej.

Zawrót głowy od oddechu, jak wicher... I poczuł się boleśnie wziętym w kleszcze zębów, z których każdy był tak szeroki, jak on...

Kiedy się ocknął, ujrzał pochyloną nad sobą twarz kobiety o szafirowych oczach. Musnęła go biała zasłona. Poczuł wodę na ustach i na skroni. Usłyszał w mowie rodzinnej słowa:

— Żyjesz... Odpływa...



Dźwignął się. Ujrzał na ubraniu płaty brunatnej śliny i poczuł nawskroś ciała ból od dotknięcia żębów. Z cypla widać było, jak głowa węża z połową cielska już daleko kołysała się na falach i ginęła wciąż dalej w miarę, jak skręt odwijał się od wyspy, którą był otoczył. Wreszcie ogon odepchnął się od wyspy, przewracając skałę. Widać było potworny czarny pas jeszcze przez chwilę. Potem rysowała się tylko czarna linja na horyzoncie. Potem wszystko znikło.

Na białym cyplu obok zrujnowanej wieży zostało ich dwoje:

Torald i Alda.

— Teraz nie wróci, aż za parę ludzkich pokoleń, — rzekła Alda i zaczęła swoją opowieść.

\* \* \*

W mrokach niepamięci ginie, kim był pierwszy prarodziec przyniesiony przez węża. Prarodziec zastał już tutaj kobietę. Wyspa rodzi owoce, zboże, bawełnę. Zostali mężem i żoną, doczekali się wnuków. Wtedy on zjawił się znowu.

Pożarł wszystkich, zostawił jedną kobietę i przyniósł nowego mężczyznę. I kiedy ci rozrodzili się znowu, znowu zaczerniał na widnokręgu, by ich pożreć. Tak zjawia się co pewien czas, gdy wie nieomylnie, że znów zaludniła się wyspa i łup dla niego gotowy.

Ludzie próbowali chować się przed nim. Patrz tam, naprawo, na te gęste zarośla cierniowe. Sądziły, że osłonią ich ciernie, Ale skóra potwora nie czuje ich nawet. Kopali sobie jamy, osłonięte głazami. Ale wąż je porozrzucał. Ukrywali się wśród gęstych wierzchołków drzew. Ale potwór powybiegał ich cierpliwie, długo wodząc cielskiem i paszczą po wyspie.

Wreszcie w naszym pokoleniu umarł prarodziec nasz, przyniesiony przez węża i prarodzicielka, która przed jego paszczą ocalała. Mówiliśmy tedy, że wąż

wydał się im tak potwornym w godzinie strachu, że nie może istnieć cielsko tej objętości, jak nam opowiada, że kamienie orpą się paszczy wężowej. Nie było już świadków naocznych, by nasze mniemanie potwierdzać.

I my skazańcy, zaczęliśmy budować warownie ocalenia na tym stromym cyplu, do którego dostęp najeżyliśmy ostremi palami, a w dole, dokoła góry, przygotowaliśmy pierścień drzewa, by kołem ognia odciąć się od niego. Ale nie przewidzieliśmy straszliwie szybkich jego ruchów... Nie przewidzieliśmy kolosalnej jego masy, któraby jednym skrętem wilgotnym ogień stłumiła. I oto wszyscy moi zginęli... Cześć i ja nie z nimi!...

Z płaczem zakryła twarz dłońmi. Wiatr od morza lekko poruszył jej białą zasłonę.

— Nie płacz, Aldo, rzekł Tarald ze współczuciem, wszak jestem marynarzem, który niejednego zaznał w życiu. Zbuduję statek i wrócimy nim do ojczyzny.

— To niemożliwe! Potwór krąży po wodach! Została wieść, że kiedyś ludzie zbudowali statek, by uciec z wyspy. Zostało na wyspie tylko dwoje, którzy nie wierzyli, by można wyrwać się z mocy zakłętą. I po kilku dniach ocean wyrzucił szczątki po-gruchotanego okrętu i pomiażdżonych ludzi.

Tarald zacisnął ręce. Poczuł na sobie władzę nieodwołalnego. Szafirowy pierścień morza stał się żelazną obreczą. Dusił cudownie pogodny strop niebios. Różowe drzewa migdału napępniały mdłością i zniechęceniem. Bezżyteczne, puste i nudne leżało piękno przed nim, będącym w mocy zagłady.

Przeniósł wzrok na Aldę.

Ciemne włosy otaczały twarz, nieskazitennie harmonijną nawet w bólu. Ramiona o skórze gładkiej,



w żyłki niebieskie, wylaniając się z obszernych rękawów sukni, pociągnęły oczy ku sobie.

— I oto grozi pokoleniom, jak wieczność pochłaniająca chwilę, — zawodziła Alda, — i oto rodziły się pokolenia po to, aby znosić udręki wielu lat, nie znając dnia, ani godziny. I oto rodziły się pokolenia na pastwę nieuniknionym kataklizmom...

Tarald patrzył, patrzył uparcie na rozchylone ponsowe, rozgorączkowane jej usta.

Poczuł szczególne pragnienie — jak wobec puharu wina, pieniącego się ciemną truczną oszołomien.

Alda podniosła z energją głowę i wyciągnęła ręce ku oddali, w której znikł potwór:

— Ta wyspa nie będzie odtąd zaludniona! — wykrzyknęła, — czy słyszysz? — zwróciła się do Taralda.

Tarald patrzył na nią i uśmiechnął się cicho.

Zeszli na łakę, zmiażdżoną potokiem białych kamieni, wyżygniętym przez węża. Na niektórych był plugawy ślad brunatnej śliny, na innych — krew ludzka.

Alda, płacząc, zbierała rozsypany naszyjnik z muszli.

— Patrz, — mówiła do Taralda, — ten naszyjnik zrobił i dał matce mojej ojciec w dniu, kiedy jej po raz pierwszy mówił o miłości.

Odwróciła się. Serce jej zalała nagle, bezgraniczna gorycz.

— Na tej wyspie nigdy nie będzie miłości, — ponuro, żałośnie zaśpiewały fale oceanu.

I gdy Tarald z miłą litością brata położył dłoń na jej głowie, odepchnęła ją gwałtownie.

Z cichym smutkiem Tarald pomógł Aldzie pozbierać skrwawione kamienie i ułożyć z nich grobo-

wiec. Stali nad nim, wyczuwając boleśnie, że pod kamieniami nie było ciała.

Alda oplótła grobowiec girlandą glicynji.

Oparła się o niego i przymknęła oczy.

— Na tej wyspie nigdy nie będzie miłości, — płakały wiekiustym, nieutulonym płaczem fale oceanu.

\* \* \*

Na polance w lesie palmowym płonął ogień. Czerwone kity płomieni chwiały się od powiewów morki z wybrzeża. I cicho trzeszczały suche liście palmowe, dorzucane do ognia i skręcały się, jak palce rozczapierzonej dłoni.

Tysiąca wachlarzy palmowych powiewało nad głowami Taralda i Aldy. Ogromne południowe gwiazdy świeciły im cicho w oczy, jak prawe, nieodwrotne spojrzenie wieczności.

Ale oni trwali, jak w letargu, we władzy znikomości i zraty.

Od czasu do czasu daktyle spadały na ziemię i krótkie stuknięcia były niepokojące, jak sygnały alarmu wśród nocy.

Alda odtrąciła garść owoców, zbieranych przez Taralda i siedziała na ziemi, objawszy kolana rękami, zapatrzona w ogień i w zarzewie bólu w swem sercu. Przyjęła wodę, którą Tarald przyniósł ze strumienia w łupinie kokosowej.

— Śpijmy, — rzekł mężczyzna, — spoczywaj spokojnie. Jesteś pod moją ochroną, i nie stanie się nic wbrew twej woli.

Alda położyła się w milczeniu na posłaniu z traw. Sen zeszedł na jej strudzone płaczem powieki.

Tarald pochylił się nad nią i rozważał, czy łup ten, wydany przez niepojęte przeznaczenie w jego ręce, wart jest tylu cierpień przeszłych i przyszłych.



Ogień buchnął żywiej i oświecił piękną twarz uśpionej kobiety i zarzucone nad głową ramię, z którego obsunął się szeroki rękaw.

Ale gwiazdy blizkie i czyste wświecały się w zmęczoną, jeszcze chorą od zetknięcia ze śmiercią duszą Taralda.

\* \* \*

Wśród lasu stały drzewa dzikiego migdału, jak różowe, wonne kopuły.

W cichem zaśnieniu stały pod niebem głęboko-szafirowem.

Raz wraz rozlegał się na polance stuk siekiery.

Taralda ociosowywał pnie palmowe. W głębi wznosiła się rozpoczęta budowa. Przy rozłożonem ognisku Alda warzyła stawę.

Śpiewała długą monotonną pieśń tęsknoty. Temi tonami, tak obcemi radosnemu południu, odzywała się w niej krew rodów północy, która ją wydała.

Torald pracował silnie i zrecznie. Szerokie jego bary, wzrost wysoki. Krótkim otokiem zdobi głowę włos lniany. Jak potężnie grubieją ramiona pod rękawami przy zamachnięciu się siekierą, pod którem następuje głębokie stęknienie rozłupywanego pnia!

Silne ramiona, szeroka pierś gorąca, zdyszana! Alda nuciła:

— O wyspo karmiąca dwoje ostatnich ludzi!

O wyspo kłatwą wyludnienia dotknięta!

— Pomóż mi, — zawołał Tarald.

Alda podeszła i wraz z nim objęła koniec grubego pnia palmowego. Ręce ich zetknęły się. Upuścili pień, lecz nie mogli rozpleść chciwych, drżących ze szczęścia dłoni.

I nagle mężczyzna porwał ją w objęcia.

Z dziką energją szarpnęła się Alda, prosto w twarz, upiększoną miłością i pożądaniem, chyłąc się w szybkim zdyszaniu ku jej ustom, krzyknęła:

— Chcesz mnie przywalić kamieniem bólu, chcesz bym płaciła życiem męki za chwilę twojej rozkoszy!

— Dźwignę ją z tobą, — odparł Tarald.

— Nie chcę widzieć klęski ginących — jeżeli przyjdzie znów zagłada, niech zostanie pustą ziemię, by nie było ust do jęków i serc pękających w obłędzie!

— Może właśnie dla nas nie przyjdzie zagłada!

— Nie chcę, — zapłakała Alda.

Tarald puścił ją. Dźwignęli w milczeniu pień i przenieśli na miejsce budowy.

\* \* \*

Sznurami lisiorów, padających bez końca, zasnu-  
te było niebo.

Nudna pora deszczowa szarą gazą powlokła kraj-  
obraz południa.

W domu, w gaju migdałowym palił się na komi-  
nie ogień. Tarald i Alda siedzieli przy nim.

Rozsnuwało się przedziwo bezradności. Nuda  
bez kresu zasłaniała świat płachtami ulewy.

Krople dudniły bez końca po dachu. Jak z klep-  
sydry, sypały się monotennie w rany serca, drażyły je  
dokuczliwie.

Torald przyniósł małą skrzynkę, którą niedawno  
wyciosał z drzewa palmowego. Patrząc z pod oka na  
kobietę, wyjmował rzeczy, które miał na sobie, gdy  
go rzucono na tę wyspę.

Alda podniosła się ociężale i stanęła obok niego.

Położył na stole nóż składany, garść złotych mo-  
net, pas nabijany srebrnymi blaszkami. Potem wyjął  
i błysnął pod światło naszyjnikiem z rubinów.



Ponsowe kamienie zagrały blaskami.

Alda ożywiła się.

— Daj mi to, tobie to niepotrzebne, — przemówiła.

— Dobrze, ale za jeden pocałunek.

Alda odsunęła się niechętnie, potrząsając ciężkimi warkoczami.

— Cudnie ci będzie w tym naszyjniku, — kuśił z uśmiechem, a serce tłukło mu się niespokojnie.

Kobieta walczyła ze sobą. Już wyciągnęła dłoń po ozdobę, lecz dłoń ta znowu opadła.

— Na tej wyspie nie będzie już odtąd miłości, — powiedziała smutnie, — bezsilnem stanie się to, co pożera.

Usiadła znowu przed ogniem, objęła rękami kolana. Rzęsy rzuciły tragiczny cień na jej twarz.

Torald położył naszyjnik na jej kolana.

— No to masz bez niczego. Nie bądź tylko smutna.

Alda chwyciła naszyjnik. Włożyła go radośnie. Pochyliła się nad naczyniem z wodą, które odesłało jej oczom twarz urodziwą. Cieszyła się, że jest piękna.

— Chciałem ci włożyć ten naszyjnik, jak ojciec twój sznur muszli twej matce — rzekł Tarald niewesoło.

Alda ucichła i usiadła znowu. Powoli zdjęła naszyjnik. Położyła go na stole. Oparła głowę na dłoniach. Płakała.

— Po co mam być piękna? Och, po co? I tak nie minie zagłada! — szeptała z gardłem zdławionem.

I groźba niewiadomej chwili zawisła nad nią, jak wyjący mrok.

\*  
\*  
\*

Tarald i Alda szli przez las kaktusów, rosnący na piaszczystem zboczu południowem wyspy. Szare kolumny, wieloramienne świeczniki, kule najeżone igłami stały, podobniejsze do wyrobów ludzkich, niż do roślin. Rozcięli kulę kaktusa i orzeźwili się zawartym w nim płynem.

Podchodzi do cypla na wierzchołku góry. Zasłonięty opuncjami, które rozkładały płaskie mięsiste liście z czerwonymi rozetami kwiatów, był w nim otwór. Starodawna grota w złożach piaskowca, weszli do niej. Tarald potrafił nogą o numulit. Widać kiedyś ta część lądu była pogrążona w oceanie. Przyszło to na myśl Taraldowi. Te siły tajemne, co wyspę wynurzyły, mogą ją znowu pochłonać. I poczuł on także, że zewsząd otoczony jest zagładą i niewiadomym jest dzień, ani godzina.

Pośrodku groty leżał głaz, a na nim zwój bawełnianej tkaniny.

Gdy Torald jej dotknął, rozsypała się w pył. Ale pod nią była lutnia. Nie było prawie rdzy na strunach jej, przechowanych w tem suchem miejscu, przez długi czas owiniętych starannie.

— To schował któryś z mieszkańców wyspy, — wypowiedziała przypuszczenie Alda.

Torald z radością oglądał narzędzie. Położył na niem z miłością palce. Brzęknął cicho. Zaczął stroić struny, usiadłszy na głazie, wśród czerwonych rozet opuncji

Dawno stłumiony wicher twórczości powstał, jak samum na pustyni. Tam na okręcie zginęła lutnia jego. Tęsknota za Aldą i obcowanie z zagładą stała mu się pieśnią niesłychanie bolesną. Pieśnią bez ujścia, bez słów, targająca pierś w posusze, okutą i niemą. I teraz wyrwie się ta pieśń ze zdławionego gardła.

Uderzył w struny i podniósł głos. Nie śpiewał tak nigdy jeszcze w życiu. Szalała jego tęsknota, jak



morze. Huczał strach śmiertelnego człowieka, który czuje na ramionach żelazny uścisk niewiadomego.

Ale w miarę, jak śpiewał, cichła tęsknota w uniesieniu szczęścia, a strach ginał w rosnącej potędze. Potężny jest! Gina światy w kataklizmach, na atomy rozpadają się ciała.

On tworzy świat własny.

Alda pochyliła się ku niemu, gdy umilkł na chwilę, dobierając akordów.

— Co ci jest? Masz twarz jak słońce.

Odpowiedział:

— Jestem nieśmiertelny!

Nad nim stało ogromne słońce podzwrotnikowe. Wieczne. Rodzące życie. Słońce mówiło wielością kształtów na ziemi. On mówił drgnieniami duszy, słowami. Potęga rozpierała mu piersi. Był niezniszczalny. Pokonał strach.

Twórca twóczemu światłu śpiewał hymn.

Gdy umilkł, zeszli w dolinę. Alda nie mówiła aż do wieczora. Pod mżeniem gwiazd wyszli wieczorem nad ocean.

— Powiedz, czy ten, kto czuje się nieśmiertelnym nie zna już strachu?

— Nie zna.

— A jak poczuć się nieśmiertelnym może ten, kto nie jest pieśniarzem?

— Trzeba tworzyć. W momencie twórczości przezwycięża się śmierć.

— Jak ja mam tworzyć?

— Miłość jest tem samem, co twórczość.

Powiedziała ociągając się:

— Więc chce miłości...

Tarald stał przed nią. Cień wyolbrzymił jego postać.

— Tak długo, tak długo błagałem ciebie. Tęsknota żarła mi duszę, jak struny rdza.

Potrząsnął głową. W cieniu pamiętała, że jasne ma włosy.

Jak burza, nabrzmiął rozkazem jego głos.

— Teraz sama podejdiesz... Teraz sama podasz mi usta...

W nagłym zniewoleniu całej istoty poszła luntyczka ku niemu.

Usłyszała rozkaz powtórny:

— Teraz podasz mi usta...

W śmiertelnym spłoszeniu, struchlała, mdlejąca prawie, zamknawszy oczy podała mu usta.

Porwały ją potężne ramiona. Usta jego, jak pchnięcie sztyletu wskroś ciała... A więc to tak...

Nagle obudziła się świadomość. Szarpnęła się w jego ramionach.

— A jutro? Co będzie jutro?

Ale ramiona zawarły się mocniej i radosny głos Taralda odpowiedział:

— Pytasz o jutro? Przecież w tej chwili zawarte są wszystkie dni świata! Przecież ta chwila — to wieczność!

Poczuła w sobie tę cześć ufności, która się skończyć nie może. Usta Taralda znów przyłgnęły do jej ust. Na oczach — złota mgła...

Ogromne słońce wstaje — z duszy jej — czy ze wszechświata? Gwiazdy grają melodje, a może to jej twórcze słowa, słowa miłości zamieniły się w gwiazdy?

Uklękła i przytuliła się do jego kolan, powalona nagłym ciosem ciężkiego, oszałamiającego pragnienia. Lecz już po chwili zaczęło się ono wysrebrzać znowu w muzykę. Dusze przeszły za szranki ciała i *stopiły się w jedno*.

Gdy przyszli do siebie, *poculi się odmienieni*. Poznali tajemnicę nieskończonego trwania. I stał się im odległy kształt morskiego węża dziecinną zabawą.



Wśród różowej zamieci migdałowego kwiecia siedziała Alda.

Na rękach kołysała dziecko. Roztopiało się w niej wszystko ze szczęścia od dotknięcia miniaturowej rączki.

Poczuła na sobie wzrok miłości. Podniosła oczy

W obramieniu różowych drzew stał jasnowłosy Tarald.

Rozśmiała się ku niemu, rozpromieniła. Wyszepiała:

— O twoje włosy! Twoje złote włosy!

Torald podszedł i ujął jej głowę, ujął prawem własności ducha i ciała. Usiadł koło niej. Zdaleka widać było morze.

Alda kołysała ciężącą główkę dziecka, powstrzymując z trudnością usta od przyłgnięcia do niej z wylewającą się za brzegi serca miłością. Lekka chmurka spletała pasma jasnych włosów Taralda z ciemnymi Aldy.

Nagle wzrok jej pociemniał, spoczął z męką na dziecku, potem pobiegł w dal oceanu, wypatrując straszliwej zjawy na widnokręgu.

Torald pochwycił ten wzrok.

— Znów jesteś niespokojna...

— Sama się nie lękam, ale dziecko, dziecko... Rodzicielka i śmierć... Oto dwa krańce... Wywodzę z nicości po to, by pochłonęła nicość. Narodziny dla zgonu...

Ale Tarald, uśmiechając się, wziął lutnię i zaczął układać nową pieśń. Prąd twórczości przywiany z bezmiarów poruszył struny. Śpiewał o rozroście ducha, co już się w swym kształcie nie mieści, o zwycięstwie jego wśród męki i zgonu... O cudownym szczęściu zwycięstwa..

Zasłuchiwała się Alda, dokonywał się w niej nieświadomie wybór między bezbolesnością a potęgą...

Szafirowa kotara nieba, spadając aż do ciemnozielonej linii wód zasłaniała tajemniczą przyszłość przed ich wzrokiem.

Przed grota stali Tarald i Alda, otoczeni dorosłymi dziećmi swemi. Siwe włosy ich nie przerzedziły się, nie zgarbiły się ciała, wciąż ożywione nieśmiertelną młodością duszy.

— Mam złe przeczucia? — mówiła Alda, — jestem znowu między chwilą obecną a nadchodzącą, jak między dwiema potwornymi paszczami.

Ale Tarald, uśmiechając się, położył dłoń na jej głowie. Spłynęła znów na nią pewność.

— Oicze, zabierajmy się do pracy, — zawołał najstarszy syn.

Postanowili przeszukać grota, w której kiedyś Torald znalazł lutnię.

Kamienne motyki krzepkich młodzieńców uderzyły o opokę i napotkały między głazami warstwę osadową.

— Ta warstwa musiała się utworzyć na dnie morza, — zawołał drugi syn, — pełno w niej otwornic i nawet dużych numulitów.

— Czy prawda, że z morza wyłania się ziemia i zatapia w niem znowu? — pytała jedna z córek.

— Gdyby tak było, tobyśmy mogli z ziemi wykopywać bardzo stare okręty, — zaśmiał się Tarald.

Wrzynali się w warstwę miękkiego piaskowca, odrzucając wciąż szczątki koralu i numulitów. Nagle motyki uderzyły o coś...

Zaczęli śpiesznie odrzucać ziemię. Wynurzył się dziób statku nieznanej budowy. Okucia były przeżarte rdzą i zaczęły się sypać, jak czerwone próchno.



Burty oklejane były skorupiakami i wodorostami, jak inkrustacjami, które je zmocowały, zanim ochroniły nawet od działania wody iły czerwone.

Odrzucali ostrożnie piasek, aż odsłoniли całkowiec statek niewielki, wbity w grunt.

Nie wiedzieli, czy to nieznanego im kształtu statek bajecznych Atlantów, czy grecka triera, czy triremą rzymską, łódź wikingów lub nawet pinka bałtycka, którą tylko gwałtowne wygięcie warstw zagrzebało i wyniosło na powierzchnię, nie zaś powolnie narastające całuny osadów.

Rozszerzyli luki i zeszli pod pokład. Pod nogami ich rozsypywało się próchno. I coś zabrzęczało. Poświecili pochodnią. Dno statku zalewało złoto. Zmurszały już skrzynie, które je ochraniały i sproszkowane opadły skówki. A metal szlachetny iskrzył się strumieniem, a w błyskach jego tlił żar pokoleń, które się wytopiły i wymordowały o jego posiadanie.

Skarb, — powiedział Tarald.

Starszy syn, Ryno wyszedł z łodzi, wyskakując ostrożnie przez burtę, i pokazał garść złotych monet i łańcuch z kutego złota.

— Ten skarb zmarnieje na wyspie, trzeba oddać go ludziom, — zawołał.

— Jakże to uczynić? — niespokojnie podniosła na niego wzrok Alda.

Był jasnowłosy, jak ojciec. Pierworodny. Jeszcze czuła w sercu dreszcz szczęścia, jak wówczas, gdy poraz pierwszy przycisnęła go do piersi.

— Trzeba zbudować statek, jak ten, co leżał zagrzebany przez tyle wieków. I przenieść ten skarb przez ocean.

— Zapominasz, że na wodach czyha wąż morski — potwór, który został od pradawnych czasów

chaosu i zniszczenia i który od czasu do czasu znów z nieznanych głębin oceanów wypływa, by siać zagładę.

Więc cóż stąd? Śpiewałeś, ojcze, pieśń tamtego wieczora, siedząc nad oceanem. Sączyła się z niej bujna podnieta, by porwać się w dal, z tej wyspy, zbyt ciasnej dla nienasyconych dążeń człowieczych. Nie ginie poryw twórczości, ani tej, co śpiewa, ani tej, co kocha, ani tej, co dąży w dal w obliczu zagłady. Niech statek mój pogruchocze na wodach paszcza potwora. Moja siła, gdy będę ginął bez strachu, zwycięży go i przetrwa, choć szczątki mojej barki zagrzebią podziemne trzęsienia i namuty. Moje istotne ja niezniszczalne idzie w górę, gdy oko w oko śmiertelnym kataklizmom zagłada!

— Czy nie po to krąży w głębinach, większych od najwyższych szczytów, w głębinach nieprzemierzonych wąż morski, pożerając łądy i miliony ludzi, by w nich to jedno obudzić — beztrwożne spoglądanie w paszczę zagładzie! — rzekł Tarald.

— Ktoś patrzy na umieranie, gdy z niego rodzi się nieśmiertelność. Nietrwałość prac naszych i niepewność istnienia to nie powód, by ręce założyć. Istnienie nie kończy się, tylko przeobraża. — powtarzał słowa zapamiętane najmłodszy, ciemnowłosy syn Taralda.

Nazajutrz padły w lesie pnie najwyższe. Zaczęła się budowa statku na wybrzeżu.

\* \* \*

Zepchnięty do wody, kołysał się statek w szafinowej zatoce, objętej półkolem białych skał. U rudła stał Ryno i jasny włos lekko poruszał mu wiatr. Zagłę wydeły się i statek cicho wypłynął z zatoki.



Tarald i Alda stali, przytuleni do siebie, patrząc na statek, który zabierał najstarszych synów.

Na widnokręgu ukazała się czarna linja. Drgnęli i mocniej zwarły się ich dłonie. Ujrzeni paszczę sunącą naprzeciw statku. Widzieli, jak w obliczu nieuchronnej zagłady śmiało sterował sam ku niej Ryno.

Córki z zawodzeniem przypadły do kolan rodziców.

Nagle paszcza uniosła się nad falami, przepuszczając statek. Ujrzeni biały żagiel po drugiej stronie tułowia.

Waż powoli dopływał do wyspy. Skrętem potwornie szerokim i czarnym otoczył wyspę całą i zataczał już drugi pierścień.

Tarald przygarnął Aldę potężnym uściskiem, pełnym przelewającej się za brzegi serca miłości, jak w pierwszy dzień uciszenia krwi, gdy silniej od niej przemówiła dusza. Czekali chwili, która była przejściem, stopniem do wzniesienia się wyżej. I z niemi czekały ich dzieci.

Powolnym, jakby strudżonym ruchem wznosił się w górę kolosalny, ćmiący rozum i wyobraźnię olbrzymością waż.

Zbliżył ku nim paszczę i nagle szatańsko-szyderczy i człowieczo-świadomy uśmiech martwo rozblyskujących zębów rozdarł ciemny szafir podzwrotnikowy.

Oczy — małe jeziorka lały jasno-zielone, malachitowe jady.

I nagle zamknęła się paszcza. Miotnęła się, jakby w przerażeniu i opadła na wody nadbrzeżne. Wstrząsnęła się wyspa.

Już zapadała noc, a skręt potworny i czarny, pierścień grozy, ściskający wyspę, nie rozluźniał się, a sztywno kołysał na falach. Świetliczki wyhaftowały

srebrem ocean, a czarny kształt jeszcze ohydniej odcinał się od srebrnych przestrzeni.

Torald z rodziną zasiadł przy ognisku pod skałą, skąd widać było potwora. W pewnej chwili poczuli znowu wstrząśnienie całej wyspy. Ze skały posypał się żwir i kamienie. Zapłakała młoda Alda, ugodzona kamieniem.

Potem ucichło. Zgasły dwa jasno-zielone oka, lejące jady.

Nazajutrz o wschodzie słońca ujrzeni, że cielsko bezwolnie chwiało się na falach, jak rzecz martwa. Koło białej linji wybrzeża leżało potworne i jeszcze spotworniałe obrzęklizna. Gdzieś tam powypadały łuski ogromne, jak tarcze chropawe i pełne guzów i leżały na piasku. W miejscach odsłoniętych widać było czarną, gnijącą masę, w której gmerały olbrzymie kraby. Niezgrabnie wyrzucając w górę kleszcze, żerowały one w cuchnącej galarecie zamarłych, zielonych oczu.

Od spodu otaczały węża brunatne rekiny, plamiste, jak pantery. Szarpały brzuch, gdzie łuski były większe. Czasem wypływały na powierzchnię, odwróciwszy do góry ludożercze paszcze o jedenastu rzędach zębów. I znów zanurzały się pod wodę, by szarpać zdobycz.

Straszliwe, zgniłe powietrze zgęszczało się nad wysepką. Ludzie dusili się i uciekli na najwyższy cypel, ale i tam nie można było oddychać. Przebyli kilka dni, jak w agonji. Ale przyszedł ożywczy orkan i uniósł zaduch i trujące wyziewy.

Po dniach cielsko rozpadło się na kawały pod wytrwałymi zębami rekinów i skręt węzowy wypuścił wyspę z czarnego koliska. Fale rozniosły kawały duże, jak rafy, otoczone wieńcami plamistych rekinów o paszczach, pełnych wielozębnych, martwopływających pił.



Wreszcie już tylko czasem wyrzucało morze czarne tarcze łusek, których z trwogą dotykała młodziutka Alda, bawiąc się na wybrzeżu.

Po miesiącach biały żagiel ukazał się na widnokręgu. Powracał statek Ryna... Ale za nim drugie ożaglenie łopotało na rzeźwym wietrze.

Na wybrzeże wyszła drużyna dorodnych mężczyzn i kobiet.

Najstarszy z nich powiedział:

Dowiedzieliśmy się, że wąż morski umarł i zaczyna się nowa epoka ziemi. Przybывamy, aby stworzyć nowy ród, nad którym nie ma już mocy zagłada...

## W I L C Z Y Ś W I A T

Jezioro Narocz, okajdaniowane ogrodzeniem z drutu niewolnie i gnuśnie toczyło wody.

Patrzył na nie przez okno drewnianego domku młody porucznik. Niewolnie i ciężko toczyły się jego myśli. Przed oknem stał kulomiot i żołnierz na straż przy nim. Żołnierz przechadzał się wesoło i przekręcał na bok czapkę z fantazją.

Porucznikowi było smutno.

W pokoju przy stole było jeszcze sześciu oficerów. Grali w karty, a jeden z nich kreślił coś na mapie. Piękne koce na drewnianych chłopskich łózkach i walizki po kątach dziwacznie odbijały od szarej drewnianej ściany pootykanej mchem...

— Roman znowu nurzasz w melancholji twoją oranżeryjną duszę? — zwrócił się jeden z oficerów do stojącego pod oknem.

— A jakże — przekrzywił się drugi — jego plutonowemu bolszewik przetrącił kulas, będzie znowu miesiąc żałoby.

— Nie skończyła się jeszcze żałoba po moralnej zbrodni Karola — zauważył brunet z fajką w zębach.

Przyszedł panicz i dla niego,  
Porzuciłaś mnie, —



zagwizdał Karol — cóż stąd, gdzie ładna dziewczyna, tam koleżeństwo się kończy.

— Tyś się bawił dziewczęciem, a Janek ją kochał — obruszył się Roman z pod okna — na takie zbrodnie moralne mało gilotyny. Złamałeś obojgu życie.

— Tere, fere, kaznodziejo, metodysto, kwakrze, purytanie, wlażbyś w sutannę, a nie psułyś wiecznie dobrej oficerskiej kompanii.

— Zaczyna kompanja! Bałagan i tyle! — odmruknął Roman.

— Oho! cnotliwy mamin synek drze noska do góry!

— Dajcie spokój — wmieszał się Zdzisław, podnosząc głowę od mapy — czego chcecie od niego? Bijcie dobrze bolszewika — to niech sobie poględzi!

— A rzeczywiście dobrze bije — odezwano się z uznaniem.

— Słuchaj-no, nie rozumiem ciebie — podjął Karol — oplakujesz zdeptanego karalucha, a chwata jesteś na bagnety.

— To co innego, gdybym ich nie zabijał, zabito-by Polskę. To takie proste. Ale nie koniecznie żołnierz polski ma stać się brutalem i wyzbyć się uczuć ludzkich dla tego, że jest na wojnie. Czyny szlachetności i wielkości serca cechowały rycerzy średniowiecznych, którzy pomimo to robili sobie sport z łamania żeber.

— O o o — ziewnął szeroko brunet z fajką — znowu sentencja — więc i ja ukażę tkliwość uczuć rycerskich i pójdę do popadianki. Tu człowieka chandra ogarnie z taką maszynką od etyki!

Zabrał się i wyszedł, za nim wysunął się Roman. Poszedł drogą w kierunku międzyfroncia. Pusta biegła w dal droga przez równinę. Siadł na ka-

mieniu przy drodze. Był pośrodku wielkiego czarnego kręgu ziemi.

Opierała się na nim płaska kopuła szarego nieba.

Pod niebem beznadziejnie szarem ten czarny krag...

Straszliwa samotność człowieka na ziemi.

Przenikał go chłód.

Tęsknota do twarzy miłujących,

Tęsknota do ciepłych, dobrych rąk,

Niema nikogo, nikogo.

Taki obcy, taki wilczy ten świat...

I nagle na krawędzi kręgu ukazały się jedna przy drugiej w wieniec ułożone, rozwarte paszcze wilcze.

Błyskały w nich białe drapieżne kły.

Przy każdej paszczy obustronnie leżały dwie pazurzaste łapy.

Paszcza wśród łap, paszcza wśród łap, paszcza wśród łap...

Bez końca.

Kły i pazury, kły i pazury, kły i pazury.

Bez końca.

\*

— Co tak siedzisz sam, Romek? — ozwał się słodkawy wpraszający się głos Zdzisława.

Roman się ocknął. Wydało mu się nagle, że opierająca się o jego ramię ręka włączyła w siebie pazury. Zdał ją i oglądał uważnie.

— O co chodzi? — dziwił się Zdzisław.

— Taka wizja — prawdziwa najrealniejsza wizja. Wydało mi się, że całe człowieczeństwo ma pazury — z nagłym odrzuceniem wstydlivosti powiedział Roman.

Zdzisław się zaśmiał.



— I ja też podług ciebie? — rzekł serdecznie.  
Roman trochę nieprzytomny, przychodził do siebie z zamartwienia się.

— Nie, ty nie — rzekł wreszcie.

— Dzięki Bogu — zaśmiał się Zdzisław — chodź do nory, toć jesień, nie siedź tak w polu.

Poszli razem ku wiosce. Wicher cichutko pogwizdywał w polu.

— Niepotrzebnie bierzesz sobie do serca żarty kolegów, czasem dotkliwie — zaczął Zdzisław — nie można być na świecie tak mimozowatym.

— Wiem, że nie można — rzekł Roman ulegle — ale tak już czuję.

— Trzeba więcej mężkości nie tylko na zewnątrz, w chwilach niebezpieczeństwa, ale i wewnątrz. I mnie bywa trudno, mam wrogów, którzy starają się mnie oczernić z powodów osobistych. A oto stoję mocno i nie bawię się w wizje! Trudno mi w życiu, ale samotność mnie nie straszy.

— Dlaczego ci trudno w życiu?

— Obowiązki mam, teraz wojna się kończy, mam wyjść do cywila — i żką znaleźć ludzi, coby pomogli znaleźć stanowisko, znaleźć pracę?

— Ależ, Zdzisławie, nie trap się o to, ja mam tylu znajomych, ludzi wpływowych, coś się znajdzie dla ciebie.

— Dziękuję ci. Moje plany życiowe związałem z jednym. Pewnie go nie znasz.

— Któż taki?

— Purski.

— Ależ to mój bliski znajomy — zawołał Roman z zadowoleniem. — Zapoznam ciebie zaraz po powrocie do Warszawy.

— Dziękuję ci... A ty sam nie baw się w melancholię. Pamiętaj, że wśród człowieczeństwa, co ma pazury, jestem przy tobie.

Roman w milczeniu uściśnął jego dłoń.

Przy drodze stał krzyż z blaszaną figurką Pana Jezusa, ubraną w fartuszek z szydełkową koronką. Pod krzyżem skulona siedziała kobieta w burej sukmanie.

— Cemu tu siedzicie sami? — zapytał Roman, spojrzawszy na jej twarz smutną i pooraną brzdami.

— Tak jaż nie sama, panoczku, Pan Jezus ze mną — odpowiedziała kobieta.

Roman poszedł dalej, a w uszach mu ciągle brzmiało:

— Ja nie sama, Pan Jezus ze mną.

— Cemuż On nie jest ze mną, czemu ja Go nie czuję i znaleźć nie mogę! — z głęboką i smutną zadumą zapytywał siebie Roman.

Wiatr cicho szeleścił w suchych badyłach.

Woda pluskiem odpowiada.

Lecz piaski zazdrosne nie dadzą się zwać, ani schłonać i nie odleca już nigdy.

I zawsze grodzą.

Tęsknią sosny,

Tęsknią fale...

O, wiekuisty rozdział i granica wszechświata!

Drogą ku rzece jadą konno dwaj legjoniści.

Obok siebie.

Rozmawiają poufnie.

Są w przyjaźni.

Konie ciężko wyciągają z piasku kopyta.

Gałęzie muskają czasem furażerki.

O, wiekuisty rozdział i granica wszechświata!

— Jesteś dobry, dobry, Zdzisławie... Ty jeden masz miękkie dłonie, ty jeden...

Dyskretnie uśmiecha się Zdzisław.

— I bez pazurów?

Romanowi mąci się w oczach.



Staje przed nim czarny widnokrąg.  
Na krawędzi paszcze zębate obustronnie ujęte  
w łapy...

Kły i pazury... Kły i pazury...

Wieżdżają na most zbudowany na łodziach. Ostrożnie stępują konie.

Środkiem rzeki kołysze się ciało w płaszczu zielono-żółtym.

Woda kołysze je na wieczny sen.

Woda niesie młodego ułana.

W nocy wyjdą z kryształowego pałacu rusałki bużańskie.

Będą pieściły na wieki wieków zamknięte oczy.

Cicho pluszcze fala.

Niesie ostrożnie, srebrząc się ze czcią, wąską smugą krwi — jak pas rubinów.

Dar ułana dla cudnej wodnicy.

Ci dwaj stanęli na moście.

Uderzyła głowa o deski.

I znowu w dal poniosła ciało fala.

Zdzisław bierze cugle Romanowego konia. Prowadzi go po moście. Dudnią deski pod kopytami.

Zawraca w stronę przeciwną. Odrywa oczy Romana od kołyszącego się żałosne ciała.

— Nie patrz tam — mówi nakazująco — nie patrz tam, nie pozwalam ci...

Roman przenosi na niego oczy żałosne, jak płacz fali bużańskiej. Cicho szepcze:

— Ty jeden masz miękkie dłonie, ty jeden...

\*

Niegłośny, przyjemny gwar kawiarni.

Elektryczne dzwonki uśmiechają się, wyrastając z fresków sufitu, jak z klombów:

Muzyka gra:

Wróć, Jasieńku, z tej wojenki, wróć...

Przyjdź, pocałuj, jak za dawnych lat...

To było dawno. Może wcale nie było. — W ciężkim śnie. Pod frontem.  
Teraz jest dobrze.

Roman siedzi wśród znajomych od dzieciństwa twarzy. Wśród nich ten najwyższy. Purski... Człowiek nowego, lepszego świata.

W twarzy tamtego czarnego francuza błyskają sino-białe zęby.

Kły i pazury... Kły i pazury...

Nie było tego, nigdy nie było. I bolszewików w papachach z dzikimi twarzami niema.

Tu siedzi Purski, człowiek nowego, lepszego świata.

— Rad jestem, że znowu jesteś z nami, Romanie. Aleś ty się jakoś zmienił. Rzadko nam się udzielasz.

— Bo widzisz mam z frontu przyjaciela.

— I nas zdradzasz! A nieładnie!

— To też radbym was połączyć, żeby i jego u was widywać razem.

— A któż to znowu? My bo nie lubimy nowych twarzy, w naszym kółku tak dobrane miejsc wolnych niema. Ale dla ciebie. Któż taki?

— Zdzisław Wojtecki.

— Wojtecki?! Bój się Boga, Romanie, toż ten Wojtecki, o którym mówią, że był bolszewikiem i teraz się pod patryjotyzm podszywa. Brał pieniądze sowieckie. Powinna dawno zająć się nim defenzywa.

— Ależ on dobrze się bił na froncie!

— Nie wiem... Może go ruszyło sumienie. Ale wybacz, ja z ludźmi o wątpliwej reputacji wolę się nie wdawać.

— Zdzisław! Mój Zdzisław to ma być człowiek o wątpliwej reputacji!



— Tak i radzę ci też odsunąć się od niego — rzekł Purski i dla przerwania niemiłej rozmowy zwrócił się do kogo innego.

Roman siedział zwarzony. Niespokojnie bolało serce.

Dokoła zaczynał rozsnuwać się mrok i wśród niego nie wyciągał nikt już dłoni, aby przeprowadzić przez wąską kładkę nad topielą.

\*

Zdzisław leżał jeszcze w łóżku.

Przez okno pokoju natrętnie zaglądał daszek sąsiedniej kamienicy, koło którego chodziły gołębie, ruszając szyjkami, białe na zielonej blasze.

Zdzisław z nudą i niechęcią odwracał oczy od znanych sprzętów skromnego pokoju.

Gdybyż się wyrwać... Na szerokie wody życia... Rozwinąć banderę i żeglować wśród fanfar odświętnych.

Zapukano gwałtownie, nierówno. Wpadł niespokojny i rozgorączkowany Roman. Zaczął odrazu:

— Widziałem się wczoraj z Purskim...

— A! rozjaśnił się Zdzisław i usiadł na łóżku. — Kiedyż mnie z nim zapoznasz?

— On mówi, żeś ty zdradzał Ojczyznę, żeś ty był z wrogami... Zdzisławie, dowiedz mnie, dowiedz im, że to nieprawda! Ja muszę wierzyć w ciebie... jeżeli jeszcze i to zawiedzie, w kogóż wierzyć na świecie?

Zatrzymał się widząc gwałtownie czerwieniejącą pełną złości twarz Zdzisława.

— Niedołęga jesteś! Nie umiałeś nic urządzić. Nawet tyle nie mogłeś zrobić za ten czas, który przez łatwość marnuję z tobą.

— Jakto?! Zdzisławie, jakto?!

— No, wreszcie każdego w końcu djabli wezmą od słuchania twoich idealnych bredni.

— Więc to nie prawdziwa przyjaźń?

— Przyjaźń z takim psychopatą! A teraz powiedz, po co mi to mówisz?

— Żebyś oczyścił się przed nimi, przedemną...

— Ty i tak mnie nawet winnego rozgrzeszysz. A czy ty rozumiesz, że mi nie pozostaje nic innego, jak bić się z Purskim! Czy ty rozumiesz, w coś mnie wplątał?

— Ależ mnie chodziło o to, żebyś był czysty przed światem!

— Powieś się ze swoją troską o moją czystość! Zrozum, że ja nie chcę się pojedynkować, a teraz, wiedząc o rzuconem oszczerstwie, muszę... Powinieneś być sam mnie bronić, a mnie o tem nie mówić.

Roman patrzył z przerażeniem na wyciągniętą ku niemu gniewnie rękę. I widział wyraźnie, jak na miejscu wypiełgnowanych, podługnych paznogi wyrastają ciemne, lekko zakrzywione pazury...

Wypadł z pokoju, zbiegł po schodach. Czuł nieznosny szum w głowie.

Dokoła, zewsząd gdzie stąpił wysuwały się dłonie.

Na miejscu wypiełgnowanych, podługnych paznokci wyrastają ciemne, lekko zakrzywione pazury...

\*

— Gdzie tak lecisz, Romanie?

Przed nim stał Purski.

— Zdzisław jest nie taki, jak sądziłem. Zdzisław jest taki sam — z wilczego świata — półwyraznie bełkotał Roman.

— Bagatela! Mówiłem ci odrazu. I cóż to się stało?



— Mówilem mu o twojem posądzeniu. On ma poczucie honoru, chce pojedynkować się z tobą. Ale to człowiek bez uczucia, to człowiek wilczy.

— Chce pojedynkować się ze mną? — zmienionym głosem poderwał Purski — dziękuję ci za przysługę! Czy wiesz, że ja powtarzałem pogłoski, wszak ja nie mam dość dowodów!

— Więc po co było mówić lekkomyślnie!

— Mówilem przed przyjacielem — rzekł Purski z naciskiem — tyś mnie wydał w ręce nieznanego i postawił pod lufę rewolweru! To jest twoje poczucie odpowiedzialności moralnej!

Zimny pot wystąpił na czoło Romana.

— Kochałem Zdzisława nadewszystko i chciałem, żeby był czysty. Widzę, że wszystko się popłatało. Jestem winien. Działalem bez rozważań. Ale słuchaj: gdyby doszło do pojedynku między wami, gdybym przez swoją nierozwagę wasze życie miał narażać, sam sobie wpierw życie odbiorę.

— Nie pozostaje ci nic innego do roboty!

— Biorę pod uwagę twoje słowa. Więc teraz ja stoję pod lufą rewolweru. Zawiadam mnie, jak się skończy twoja sprawa ze Zdzisławem. Zawiadam mnie prędko. Do niego już się nie zwrócę. Ty mnie znasz. Ty zrozumiesz, co to za udręka moralna myśleć, że się innych wtrąca w niebezpieczeństwo. Zawiadam mnie prędko, nie daj mi się dręczyć.

— Należy ci się podręczyć, żebyś innych przez twoje narwanie potem nie dręczył — rzekł Purski zgryźliwie. — No, ale oczywiście zawiadomię ciebie, jako autora całej awantury, wierz mi, że bardzo ciężkiej dla mnie.

Odchodził niezadowolony i zafrasowany i dręcząco, boleśnie dzwięczały jego kroki, jakby depcząc po szalejącem sercu Romana.

Błękitny świt wchodził do pokoju. Smugi jasności przedwschodniej kładły się na obraz Ukrzyżowanego, wiszący wśród innych obrazów pośrodku dywanu na ścianie.

Smugi jasności kładły się na przebite ręce i na twarz cichą i pełną łaski.

Niedostrzeżona przez ludzkie, roztargnione na zjawy lub wpatrzone w siebie, oczy, Twarz ta żyła. Wypełniała sobą pokój.

Wypełniała przestwór od końca do końca...

Twarz jasna i pełna miłości, jak czara nalana po brzegi...

W fotelu przy oknie siedział Roman.

Siedział nie sam.

Przed nim na małym inkrustowanym stoliczku leżał mały przedmiot.

Mały czarny otwór rozszerzał się w nieskończoność.

Jak otchłań bez dna i krawędzi.

Wypełniał przestwór sobą od krańca do krańca.

To znów kurczył się w jedno niewielkie oko pełne zmijowego chłodu i groźby.

I urągowiska.

Stężały, to obłany zimnym potem, to płonący gorączką i szaleń, siedział Roman.

Przez długie, długie godziny.

Od wielu, wielu dni.

Wieść przyjdzie i wyzwoli.

Ale wieść nie przychodziła.

Wiedział, że obaj żyją i chodzą po świecie.

Nie wiedział, jakie zapadły między nimi słowa — kiedy będzie rozstrzygnięcie — czy wogóle będzie.

Purski nie zawiadamiał.



Więc sprawa niezłatwiona.

Wszak on jest człowiekiem tak subtelnym, człowiekiem nowego świata.

Onby nie dał się dręczyć napróżno nikomu.

Jego twarde słowa były wyrzeczone tak tylko dla dania mu życiowej nauki. On, taki dobry i wyrozumiały czyżby pozwolił mu się niepokoić i zadrećczać wyrzutami sumienia?

On, on Roman, postawił czystego i wysokiego Purskiego pod lufę rewolweru!

On winien — on, on...

Purski potrzebny światu...

A Zdzisław — drogi Zdzisław, zawsze drogi, choć zdeptał w nim wiarę w świat...

On, Roman, winien... on... on...

Granitowy ciężar gniłł jego piersi.

Czasem znużone jego oczy machinalnie błakały się po pokoju. Obejmowały obrazy na przeciwległej ścianie i grę światła na nich. I niepojmująco, bezświadomie wracały ku czarnemu otworowi lufy.

A obraz Zbawiciela był.

Wypełniał sobą pokój.

Wypełniał wszechświat cały.

W straszliwej samotności ciężko i męcząco biło serce Romana.

\*

Dzwonek. W natężeniu, z łomotem krwi w skroniach oczekiwał Roman.

I pewnie znowu napróżno.

Nie, to głos Purskiego w przedpokoju.

Roman nie miał sił ruszyć z miejsca. Ze zgrozą patrzył na wchodzącego.

Dwa tygodnie... Dwa długie tygodnie...

— Jak się masz Romanie — mówił swobodnie Purski, cóż to, kiśniesz w domu? Pożycz mi swojej angielskiej dubeltówki.

Roman zdrętwiał.

— To aż dubeltówkami macie się strzelać? — wykrztusił z trudnością.

— Pewnie, nie w zające przecie, — odrzekł Purski i nagle się połapał.

— Ach, ty o tamtem. To już sprawa załatwiona.

— Myśmy już nazajutrz spotkali się i doszli do wniosku, że obaj nie mamy ochoty do tak grubej historii i daliśmy sobie spokój. Udałem przekonanego co do jego cnót obywatelskich, bo i trudno inaczej, nie mając ścisłych dowodów w ręku.

— A dubeltówka po co?

— Jedziemy na polowanie z Łosickim.

— Więc już nazajutrz sprawa była załatwiona? Roman siedział blady i wynędzniały i wzrok pełen sądu utkwiał w Purskim.

— No, tak, — odparł Purski trochę zmieszany.

Roman się podniósł i takie okropne napięcie czuć w nim było, że Purski cofnął się mimo woli.

— Człowieku, tyś mnie dwa tygodnie trzymał pod lufą rewolweru.

— Wybacz, powinienem cię być zawiadomić, ale nie mogłem się jakoś wybrać. Teraz ma się tyle na głowie.

— Człowieku nowego, lepszego świata, a po dubeltówkę się wybrałeś?

Zaczął się śmiać. Śmiał się jeszcze, kiedy urażony Purski odchodził. Lecz potem usiadł wyczerpany. Wzrok jego ślizgał się po kolorowych kamykach inkrustowanego stolika. Zwłaszcza przykuwała go figura z malachitu i sardoniku — z drobnych zielonych i czerwonych kwadracików.



Ale nagle głowa jego opadła na ręce.  
Wśród straszliwej samotności świata — płakał.  
Po długiej chwili podniósł głowę...

Patrzył na niego ze ściany Chrystus wzrokiem  
miłości i łaski.

Roman rozumiał, że nie był sam.

Chrystus wypełniał sobą pokój.

Chrystus wypełniał wszechświat cały.

Ale on go dotąd nie zauważał.

Chwiejąc się przyszedł pod obraz. Ukląkł, po-  
chylił się nisko i wydało mu się, że wzniósł się w wy-  
żynę.

Płakał ciepłemi, wyzwalającemi łzami. Mówił  
w uniesieniu:

— Zbawicielu, Zbawicielu, Ty jesteś za mną.

I zdawało mu się, że Chrystus z krzyża wyciąga  
do niego dobre, bezgranicznie miłujące, święte i u-  
święcające dłonie.

Wyszedł z domu. Potrzebował ruchu. Nie chciał  
spotykać znajomych. Wyszedł za miasto.

Czarna, przedwiosenna ziemia otoczyła go krę-  
giem.

Stał pośrodku czarnego kręgu.

Szara, płaska kopuła nieba opierała się na nim.

I wydało mu się znowu, że linja widnokręgu  
składa się z rozwartych, jedna przy drugiej wilczych  
paszcz ujętych obustronnie w łapy.

Z paszcz połyskiwały białe, drapieżne kły.

Na łapach jeżyły się pazury.

Kły i pazury... Kły i pazury...

Ale nagle spłynęło przypomnienie.

W samotności wilczego świata ktoś czuwa z du-  
szą...

Czuwa Najwyższy...

O Tajemnico radosna! !

Znikł obraz wilczych paszcz. Nad rozkutym wi-  
dnokręgiem ukazała się Głowa w cierniach.

Ciernie, spuszczając się od jaśniejszych skroni,  
rozkwitały w ogromne, blado-różowe kwiaty.

Stał po środku czarnego kręgu.

Opasał go wieniec z kwiecica, rozchyłającego  
szerokie, blado-różowe czary, ze złotemi sercami  
wśród płatków.



# FAZENDA W LESIE

Hermes da Fonseca jechał powoli ścieżką wśród lasu. Nadmiernie wielkie pinjory, ciemne plamy na tle podzwrotnikowej jaskrawizny roślin, wyciągały do niego gałęzie, jak łapy. Opadłe orzechy pinjorowe chrzęściły pod kopytem muła. Paprocie aż na ścieżkę rozrzuciły strzępiaste wachlarze. Wyszła Ijana leżała w poprzek drogi i nie wiadomo było odrazu, czy to łodygi, czy cielsko jadowitej żmii jararaki.

Hermes jechał i rozmyślał o wyborach na prezydenta. Czy zostanie nim Borges de Medeiros, który tak umiarkowanie i spokojnie rządzi od lat dwudziestu? Czy zwycięży partja Assisa Brazila?

Ale w nieprzyjemne te myśli o sprawach ogólnych wplotło się wspomnienie codziennych utrapień. Mrówki pożarły fazenderowi całą plantację ryżu, zasianą na świeżej roça.\*) Jechał ich śladem, wioząc przytroczoną do siodła trobę z dwusiarczkiem węgla, aby zniszczyć nim mrowisko. Na ścieżce widać było wyraźnie ślad niszczenielskiej nawały.

Wyjechał wreszcie na polankę, gdzie wznosił się rancho mieszańca leśnego, kabokla Albilia. Zawołał

\*) Kawał gruntu, na którym las wyrabano i wpalono.

kilkakrotnie przed obejściem. Odpowiedziała mu głucha cisza.

Zsiadł z muła i zbliżył się do lichy skleconej budy drewnianej. Podobno włóczyli się w okolicy indjanie — czyżby zamordowali kabokla?

Popchnął drzwi i wszedł do środka. W izbie leżał człowiek... Czy można było to jeszcze nazwać człowiekiem?

Ubranie luźnie leżało na ciełe nadspodziewanie szczupłym. Między butem a nogawicą spodni białała szczerą kość. Z kołnierza wystawała wypolerowana czaszka. Tylko na ciemieniu tkwił drobny skrawek mięśnia. W kościanej głowie patrzyły szkliscie gałki oczne, jeszcze niewyjedzone, żywe w martwej głowie.

Hermes poruszył ubranie steak'iem. Z fałdów wypęzło kilka olbrzymich mrówek. Miały jakby białe niteczki na grzbiecie. Poznał gatunek jadowity. Uciekł z włosem zjeżonym na głowie. Galop jego muła upiornie, w dzikim alarmie zatętnił wśród lasu. Czarno-białe jacutiny rozpostarły w popłochu skrzydła, brodate makaki wyjrzały zmyślonemi oczyma z kępy szkarłatnych orchidei i skoczyły na pień imbui.

Wreszcie zatrzymał się, ciężko dysząc, przed swą fazendą. Dom dwupiętrowy, z werandą w dole i dużym balkonem na górze, otoczony był klombami orchidei. Palmy stały nad dachem, jak śmiesznie małe parasole na nieproporcjonalnie długich rączkach.

Murzyn wybiegł na spotkanie fazendera.

— Przyjechał sehnor Paz de Moreiro — oznajmił, odbierając cugle spienionego muła.

Hermes wszedł do hall'u. Na wprost drzwi wisiał portret jego pradziada, założyciela fazendy, Ramosa da Fonseca. Patrzył chłodnym, nieugiętym wzro-



kiem konkwistadora. On, który w tym rozdartym przez zamieszki kraju stał zawsze po stronie prawa i tradycji i tę przekazał rodowi — teraz ze ściany zdawał się surowo zapytywać wchodzącego, czy został jej wierny?

Hermes westchnął po cichu i zwrócił się do gościa. Był to stary przyjaciel, fazenda jego leżała stąd o jakie dwadzieścia kilometrów.

— Z której strony przyjechałeś? — zapytał, ścisnąc mocno jego dłoń. Potrzebował kogoś w swej rozterce.

— Od strony rancho Abilia.

Z dreszczem zajrzeli sobie w oczy.

— Widziałeś?

— Widziałem.

Usiedli, a po chwili murzyni wnieśli przekąskę i chłodzące napoje.

— Dla mnie ten trup tak dokładnie objedzony przez mrówki jest jak ta nasza konstytucja — rzekł ze zdenerwowaniem Paz de Moreiro — wszyscy zerują na niej.

Hermes poruszył się niespokojnie i odrzucił banan, który obierał.

— Czy jest co nowego?

— Wojna domowa już jest, oto, co nowego! — wybuchnął Moreiro. — A jakże. Borges de Medeiros będzie znowu prezydentem stanu Rio Grande do Sul. Sto sześć tysięcy głosów. A Assis Brazil miał tylko trzydzieści dwa tysiące. Wracam z Porte Alegre.

— No, i cóż assisiści?

— A cóż, już podburzyli kabokli, szczując ich na europejskich kolonistów. Pociągnęli indjan, nawet szczep Guarani z Santa Catharina. Bugrom tylko w to graj. Jenerał Honorio de Lemos już opanował stolicę na czele wojsk zbuntowanych.

Hermes siedział bardzo blady, długa jego ręka o odcieniu oliwkowym, zacisnęła się na kryształowym puharku. Z ust jego wybiegł tylko jeden wyraz:

— Ruy!

— No, Ruy może palnąć głupstwo. Przyłączy się do Assiesa.

— Ruy? Przeciw prawu?

— Cóż tam. Hermesie, grunt się nie przejmować! A nuż ten rokosz przejdzie, jak chmura mrówek, zostawi kilka ogryzionych szkieletów, kilka pól objedzonych — i skończy się. Może Ruy nie zdąży nawet wziąć udziału w akcji.

Hermes spuścił czoło, przecięte głęboką bruzdą.

— Wiesz dobrze, że Ruy wielbi Assisa, jak peruwjańczycy bożka Punchao. Na takie bałwochwalstwo niema rady. Gdyby mu kazał głowę jararaki wziąć w usta, toby posłuchał.

Zapadł lekki zmierzch i świetlne gwiazdy stanęły na niebie. Pnie palm stały się niewidzialne, a korony ich pływały w zmierzchającym powietrzu, jak atolle po morzu.

Obaj fazendrzy wyszli na balkon i patrzyli w noc. Czuli dokoła siebie las. Czaił się tam jaguar i puma, ukrywał się leśny bandyta, pełzały jadowite żmije.

Las groził. Zaniosły się prążliwym swym krzykiem wyjce. Zdawało się, że wszystkie osiedla ludzkie w głębi puszczy wydane na łup sił bezlitosnych i wrogich.

Moreiro wyrzekł z troską:

— Czy prędko do nas dojdzie? Mrówki objadły mi herval i plantację batatów. Tarex zaczną się pożary i rekwizycje. Zrujnują nas do reszty.

Hermes odpowiedział nieokreślenie:

— Wszystko przychodzi prędzej, niż człowiek chce.



W tej chwili psy zaszczekały. Zdaleka wiatr przywiał tętent koni. Ujrzeni wkrótce szereg poruszających się rytmicznie cieni.

Hermes rzucił z balkonu głośny okrzyk:

— Kto?

I ręka jego odruchowo sięgnęła po Colt'a, leżącego na stoliku obok niego.

Donośnie odpowiedziano:

— Oddział rządowy.

Hermes de Fonseca zszedł na dół i przywitał dowódcę oddziału, starszego już oficera, z krzyżami zasługi na piersiach i czerwoną blizną przez lewy policzek. Miał rokoszan o wiele liczniejszych na piętach. Ludzie byli zmęczeni, łączność stracona. Nie miał nadziei, że wyjdzie z tego cało, lecz widać było, że będzie bronił się do ostatka.

Kazał natychmiast ścinać drzewa pomarańczowe i urządził z nich barykadę, za którą ustawił żołnierzy. Saperzy jego w tym celu pozabierali parobkom fojisy, ostre noże do walki z puszcza. Rozłożyli się między budynkami i w budynkach. Ufortyfikowano okna w domu.

Hermes patrzył w milczeniu, jak niszcza jego pracę. Gdyby to w obronie przed wrogiem! Ale w wojnie domowej! Potem nagle rozradował się. Ryu, chociaż jest w wojsku, tak lubi tę fazendę. Tak, niech przyjedzie, niech zobaczy te drzewa zrąbane, ten dom, zdeptany przez żołnierzy! Wtedy zrozumie! O, wtedy zrozumie!

Tymczasem parobcy fazendera roznosili wśród żołnierzy czarną fasolę. Przydźwignięto olbrzymie naczynie z gotującą się wodą i żołnierze zaparziali Herva matte w małych naczyniach z tykwy ze srebrnemi rurkami.

Oficer wszedł wreszcie do domu, ustawił żołnierzy na górnem piętrze, potem zszedł na parter i zasiadł z fazenderami do kolacji.

Siedzieli w milczeniu, dolewając sobie wina. Nie chcieli rozmawiać. Słuchali, jak coś przybliża się, toczy w mroku, jak narastająca kula...

Wśród leśnych odgłosów odróżniali niespokojny, szarpiły tętent pogni. Oficer porwał się na nogi, przewracając kieliszek. Pocięło na biały obrus czerwone wino. Nie zwrócił na to uwagi, nawet lokaj-murzyn.

— Może przejadą — szepnął paz de Moreiro.

Nasłuchiwali znowu. Oddział pędził z upiornym tętentem. Hermesowi wydało się, że na siodłach tych koni siedzą potwory miedzianolice, ziejące obcością i okrucieństwem, groźne, jak prastare bożki indyjskie, wykopane w Tihuanaca. Zdawało się, że to oddział złośliwych demonów cwałował ku nim.

Oficer otarł pot z czoła z rzekł cicho:

— A przecie to jadą nasi rodacy. I trzeba będzie w nich strzelać.

Tętent był coraz głośniejszy, straszliwszy i coraz nieprzytomniejszym rytmem przystosowywało się do niego serce.

Ozwał się znowu przeciągły, przejmujący głos wyjca z lasu.

Znowu na drodze rytmicznie zakiwały się cienie. Oto stanęły przed bramą fazendy, chybotliwe i groźne.

Kilka głosów krzyknęło, klaszczą w ręce:

— O de casa! Fazendeiro!

Hermes wyszedł na balkon.

— Przejeżdżało tu wojsko?

— Nie, za to przechodziły jadowite mrówki.



— Nie zwracaj głowy, — powiedział szorstko głos z dołu — na twoje mrówki mamy nie cjanek, a kule!

Jeden z rokoszan poświecił latarką i poszukał śladów na ziemi. Odciski kopyt końskich zdradziły przemarsz oddziału.

— Łiesz, psie borgisto! Gdzie są? Gadać zaraz!

— Niech oficerowie wejdą do mieszkania, to powiem. Proszę nie wpuszczać na dziedziniec żołnierzy, bo podepczą klomby. Nie mogę rozmawiać na przestrzeń, gdyż boję się, że dostanę chrypki.

— Patrzcie go! — krzyknięto brutalnie, — czy jesteś śpiewak włoski z Sao Paulo, że ci chodzi o twój delikatny gardziołek! Gadać zaraz!

Kule gwizdnęły z dołu. Hermes wskoczył do po koju. Drzwi od balkonu zatarasowano natychmiast.

Wśród gradu strzałów zrywał się głos histeryczny, wyśrubowany, wysoki, jak u kobiety:

— Poddać się. Zejść na dół!

Wtedy z fazendy padły kule. W ciemności zakotłowało się. Z suchemi salwami mieszał się kwik splątanych koni. Potem nagle cisza. I na tle tej cizy jęczenie rannych zaczęło się wyciągać w górę, jak żyła na torturze.

Rokoszanie cofnęli się za drzewa. Rozpoczęła się wymiana strzałów. Padały sucho, precyzyjnie, najczęściej z mroku chybiając celu.

Za drzwiami było cicho. Nagle ciężko przytoczył się jakiś wózek. Po chwili drugi turkot zachichotał złowrogo.

Znowu oczekiwanie. Nagle zaszczekał jeden karabin maszynowy. Potem drugi.

Przy karabinach stał młody oficer. Kierując salwami, zapytał gorączkowo kanoniera:

— Powiedz, Pedro, czyja to fazenda? Nie poznałeś po nocy?

— Kto tam w puszczy zobaczy! Kluczyliśmy na Piabanke, teraz już nic nie wiem. Nie czas szukać na mapie. Niech tę fazendę i całą tą wojnę febra zatłucze!

I założył nową taśmę naboju.

Wśród strzałów nagle zabrzmiał głos od strony fazendy:

— Bratobójcy! Buntownicy!

Ruyowi zabito już dwóch kanonierów. Stał teraz sam na ich miejsce, ale na dźwięk tego głosu upuścił taśmę z nabojami. Wyszeptał obłany zimnym potem:

— Zdaje się, że ja znam ten głos...

— Strzelaj, da Fonsceca! — krzyknął pułkownik. — Praż te wilki, tych makaków od legalności. Zapominasz o powinności żołnierza.

Ruy drżącymi dłońmi założył taśmę. Karabin zaterkotał gderliwie, nieznosnie. Odpowiedziały salwy karabinowe coraz słabsze, coraz radsze.

Wtedy assiści przygotowali się do ataku. Oddział z najeżonymi bagnietami milczkiem, pochylony, szedł na barykadę z drzew pomarańczowych.

Ale raca nagle rozdarła powietrze. Krzyk alarmu zabrzmiał ze straconej reduty... Rozległy się szybkie, gorączkowe ciosy siekiery.

Niebotyczna palma zachwiała się. Tylko od nadmiernej wysokości wydawała się wysmukła. Teraz jak wąż wyprężony, ciemna linja pnia zaczęła się przechylać. Wśród idących do ataku powstał popłoch. Strzały od fazendy gruchnęły znowu. Szeregi atakujących złamały się, rozpierzchły, jak zagrożone mrówki, starając się skryć przed dwoma niebezpieczeństwami odrazu, oszalałe i niepoczytalne. Pień dosięgnął grupy uciekających... Gruchnęły krzyki zmiażdżonych. Strzały zamarły, grozą okuła ręce po obu



stronach. Pień zagarnął po swe grube cielsko kilku żołnierzy.

Krzyki z pod pnia gasły jeden po drugim, przetrwał tylko jeden. Nic jęku, rozwijana z niekończącego się kłębka, wplatała się dokuczliwie w suchy trzask strzałów.

Nierówny pojedynek karabinów maszynowych z ręcznymi trwał dalej. O świcie z poza barykady już prawie nie strzelano. Rokosze ruszyli na fazendę z bagnetami.

Kiedy Ruy przestał strzelać, bolały go ręce od kilkogodzinnych jednostajnych rękoczynów. Miał pustkę w głowie. Krzyki od strony fazendy, zwiastujące zwycięstwo, nie ozwały się nim żadnym echem.

Zaczął rozglądać się po okolicy. Poznał drogę w dole, strumień wśród hervalu\*. Obco wyglądała fazenda z powalonymi dokoła pniami drzew. Ścieżki ogrodu były zasypane ciemnym liściem pomarańczowym i wawrzynowym, a złote kule pomarańcz po niewierały się, zdeptane butami.

Szyby w domu były potłuczone, drzwi wejściowe wydarte... Jakby ktoś przez klatkę piersiową wyrwał drogę do serca... Te wyrwane z zawias drzwi prowadzą w głąb domu. W ziejącej ramie wejścia widać portret na ścianie nawprost drzwi...

— Hermes! Brat! — powstał w nim krzyk nieprzytomny, rozsadzający wiązania duszy.

Pędził, powtarzając ciszej, w końcu szeptem prawie:

— Hermes! Brat!

Przeskoczył pień obalonej palmy. Potrafił nogą trupa, którego nie wyjęto z pod olbrzymiego pnia. Schował się cały pod drzewem, widać tylko było

\*) Plantacja herbaty brazylijskiej — herva matte

rozrzucone daleko, zsiniałe ramiona, które tworzyły z pniem krzyż potwornie nieproporcjonalny.

Ominął grupki żywo rozprawiających żołnierzy. Dopadł wreszcie domu. Przeszedł przez wyłamane drzwi, porzucone na werandzie. Skrzypnęły pod jego nogą. Pod nagą drugiego dziedzica fazendy — młodego Ruya da Fonseca.

W hallu ujrzał wśród martwych żołnierzy cywila. Poznał go mimo skrzepów krwi na wusach i twarzy. Sąsiad — Paz de Moreiro. Bawili się razem w dzieciństwie. Przygotowywali wyprawę na Indjan.

Ach, oto się rozwiąże straszliwa wątpliwość... Tam, tam, pod portretem pradziada Ramosa da Fonseca, patrzącego surowym, chłodnym wzrokiem konkwistadora... Tam leży... Tam leży...

Tak, to był Hermes. Przyłączył się do regularnego oddziału w obronie prawa. Leżał ugodzony w czoło, w sam środek. Dziurka jeszcze leniwie broczyła krwią.

Ruy nachylił się i stwierdził to, o czym, wiedział niechybnie, odrazu: były to kule karabinu maszynowego. Wszak on sam ostrzeliwał o świcie drzwi. Jedna z tych kul trafiła Hermesa.

Zachwiał się, skurczył i upadł przy bracie. Nie mógł znieść krwi na jego twarzy. Otarł ją chustką, a potem machinalnie sam otarł tąż chustką pot z czoła, rozmazując na sobie krew.

Milczenie trupa stawało się nieznośne.

Ruy miał również palącą dziurę od kuli karabinu maszynowego w czole. Czuł pęknięcia, rozchodzące się w kości czołowej dokoła dziury, jak niedostrzegalne linje. Czuł, jak krew zalewa mu mózg.

Podniósł oczy i spotkał się z chłodnym, nieugiętym wzrokiem konkwistadora Ramosa da Fonseca.

Zerwał się nagle. Depcząc po zabitych, wybiegł na podwórze. Zawadził o nadrąbane drzewo poma-



rańcowe i grad złotych owoców posypał się na niego.

Miał w czole dziurę od kuli i jak promienie, rozchodziły się w niej dokoła cienkie linje pęknięć kości czołowej. Świat zasnuwał mu się w oczach czerwienią. Uciekał w las. Uciekał od widoku zrujnowanej fa-zendy...

Rude wyjce, kołyszac się na ljanach, zaniósł się nad jego głową przeraźliwym chichotem, krzykiem niewyzwolonego udręczenia, niepodobnym do niczego, nie znającym ratunku...

## G E S T P O L K I

Ziunia Krzysztohorska lekko wbiegła z tarasu. Potrafiła firankę dzikiego wina. Ulubiony legawiec przypadł do jej ręki. Zwysoką nosząca się panna, zawołała na niego gminnem imieniem, które mu dała naprzekór, na wyszydzenie jednego z kuzynów, zbyt pozującego na lorda:

— Kurta!

Przez kraty ogrodu widać było szary pas wielkiej drogi. Młoda radość organizmu, wypoczętego i odświeżonego snem przy otwartych oknach i rannym natryskiem, zgasła odrazu. Ołowiane przygnębienie okuło ramiona, cetnarową czapą przycisnęło mózg.

Drogą szło wojsko. Hełmy zimno migotały w rannem słońcu. Żołnierze maszerowali z miarowym tupotem. Monotonny, doskonale rytmiczny ich krok działał, jak nieprzerwane bębnienie gam na fortepianie, albo jak tortura kropel spadających na ciemność. Ciekły strumienie ludzi, sunęły nad nimi bagnety, jak bezlistne łodygi. Zimny migot stali wywołał refleks w oczach panny. Zapłonęły tak samo nienawistnie i nieugięte.

Rządca, Longinus, o wąsach zwieszonych wdół, szedł ku niej, wymachując długimi rękami i groźnie mamrocząc.



— Panie Kajryszko, cóż pan taki zirytowany?—  
zawołała Ziunia.

— A cóż, proszę pani, podle szwaby od strony popławów zabrali sześć stogów siana. Na folwarku w Wyholenietach oczyścili świren ze zboża. Niczem miotłą miecione, ani ziarnkiem po nich się mysz nie pożywi. Ładna robota! Tak z majątku nic nie zostanie.

— Chować, co się da.

— Akurat przed nimi schowasz! Wykopali w Wyholenietach z ziemi wagę i kotły miedziane. Oni czują w ziemi schowane, jak wyżej kuropatwę w trawie.

W tej chwili oddział huzarów zatrzymał się przed bramą i groźnemi okrzykami żądał wpuszczenia.

Ziunia znikła w głębi domu. Wbiegła wzbudzona, z tętniącymi skroniami na piętro. Z za firanki widziała, jak wjeżdżał puciołowaty, rudy major. Przejęła się wnet głęboką odrazą do jego czerwonej twarzy i oczu wylupiastych, jakby z niebieskiej porcelany. Na parterze zaczął się ruch i tupanina. Oficerowie zajmowali dla siebie pokoje. Po krokach i przesuwaniu mebli słyszać było, że rozlokowują się w niebieskim saloniku z fortepianem... Będą się ślizgali spojrzeniami po sztychach angielskich. Poruszają małą, marmurową Nike... Zbyszczeszczą klawisze fortepianu, dotykając ich, jak warg i zębów żywych ust.

Słyszała gorący, zatlerowany głos pana Kajryszki. Zapasem niemczyzny, wyniesionym z czterech klas szkoły średniej, starał się powstrzymać bezceremonialność najeźdźców. Ziunia otworzyła drzwi, wyszła na schody i nasłuchiwała z góry. Kajryszko krzyczał ostatnim tchem:

— Die Pferd müssen sie lassen in Ruhe!!

Ziunia śmignęła po schodach, jak pocisk z procy. Halka! Klacz arabska! Zabiorą Niemczyska dla ru-rego oficera z porcelanowemi oczami.

Wybiegła do ogrodu i pędziła ku stajniom.

Stangret Wincuk stał przed stajnią niewzruszony, wytrzymując grad krzyku i wyrazistych gestów żołnierzy. Z flegmą udawał głupiego, który nie rozumie, o co chodzi tym obcym panom, co skaczą, jak koguty i wyczyniają gesty, naśladujące obracanie klucza w zamku. Tego klucza, który Wincuk wyczuwał z niepokojem za cholewą swego buta.

— Wincuk! — zawołała Ziunia — otwieraj, bierz pocichu Halkę — i hajda do lasu za Czarnem Błotem! Choć ją uratować!

Wincuk nagle sprężysty i pojęty, otworzył stajnię. Żołnierze rozbiegli się po kątach. Wszedł wtedy do boksy gniadej klaczy. Cicho przemówił do niej, zakładając uzdę i siodło. Wyprowadził ją niepostrzeżenie, skoczył na siodło i popędził przez ogród, gdy z domu wychodzili oficerowie z panem Kajryszką.

Powstał wrzask, dziesiątki rąk wymachiwały za nim, ale Wincuk udawał, że nie rozumie. Już był blisko miejsca, gdzie przez niższy mur śmiało mógł zaryzykować skok, gdy major wyjął rewolwer i strzelił.

Kula ugodziła konia w nogę, stęknął głęboko i stanął. Żołnierze przyskoczyli i ściągnęli stangreta na ziemię.

Twarz majora nabiegła krwią, burakowe żyłki wystąpiły na czerwonych policzkach.

— Ty czego uciekała? — zaczął wrzeszczeć, gdyż w Kaliszu nauczył się był trochę po polsku, uprawiając rabunek po domach.

Wincuk odpowiedział zakłopotany:

— Jaż nia wiedau, szto nie treba. Panienka ka-zała.



— Deutscher Offizier tobie kazala! Ty pies! Koń moja!

I szpicrutą, którą trzymał w ręce, z prawa i z lewa naznaczył twarz Wincuka dwiema czerwonymi pręgami.

Krew zawrzała w Ziuni. Bywała nieraz w Libawie i Rydze. Ale od chwili wstąpienia Niemców na kresy, przestała znać język niemiecki. Krzyknęła po francusku:

— Coquin! Voleur!

I wyrwawszy szpicrutę z rąk majora, smagnęła go przez twarz, przez same oczy, przez rude wąsy, nastawione a la Wilhelm II.

Na twarzy oficera, jak niepotrzebny rysunek przekreślony czerwoną linią, stanął krzyk, niemogący wydobyć się z gardła. Bugotał mu w szyi, na której nabrzmiały żyły. Wreszcie wyszedł na rude wąsy ze śliną i pianą:

— Sąd! Sąd polowy!

Ziunia ani się obejrzała, jak stała we własnym swym salonie przed stołem czocotkowym, arcydziełem sztuki stosowanej. Plugawił go ordynarny arkusz protokołu. Chciała przysunąć sobie jedno z krzeseł empirowych, ale żołnierz brutalnie zagroził jej drogę i popchnął kolbą. Musiała stać.

Ordynans przyniósł w łapach starożytny sekretarzyk brązowy. Przewrócił jeden z kałamarzy i na stole rozlała się plama atramentu. Doskwierała jej ta plama, niszcząc jasny blat.

Major, bijąc pięścią w stół, żądał odpowiedzi. Milczała wyniośle. Dawała odczuć, że z takim nie raczy gadać.

Zacietrzewiony wojak nie zauważył, jak przed domem rozległ się tentent i głosy. Zamykał właśnie sąd polowy ostatnimi słowami: skazana na rozstrzelanie.

A w drzwiach jego plecami już od dłuższej chwili stał jenerał i z podziwem przypatrywał się Ziuni. Miał na sobie szary płaszcz bez rękawów, który odstawał na gardzie szabli. Pod hełmem była twarz piękna, jedna z tych marzycielskich twarzy północnych, które spotyka się w Prusach, gdzie nie zdołano wytepić w żyłach zdobywców domieszki słowiańskiej krwi autochtonów, chociaż ci zginęli już od dawna.

Major poszukał na twarzy Ziuni wrażenia i ujrzał, że wzrok skierowany jest ponad jego głowę. Na przeciwległej ścianie nad drzwiami wisiał portret któregoś z Krzysztoborskich z epoki romantyzmu. Piękna twarz okolona niobami, ogromne rękawy bufiaste i krótki wysnurowany stan, jak na portrecie Marji Wodzińskiej... Prowadziła z nią Ziunia w myśli rozmowę.

Major odwrócił się zdziwiony, by zbadać czemu się przypatruje z tak niezrozumiałą nieuwagą skazana. I zobaczył w ramie drzwi jenerała.

— Ach. Sie... General-Lieutenant... Prinz Hab die Ehre... — bełkotał, salutując i śpiesząc na spotkanie.

Książę Kurt von Radenburg oddał niechętnie honory wojskowe. Zwrócił się do żołnierza.

— Podać krzesło tej pani.

I nie zwracając uwagi na majora, zaczął czytać protokół sądu. Niecierpliwym gestem przerwał żarliwe wyjaśnienia podkomendnego. Potem, składając papiery, rzekł zimno:

— Ach, so... Wyrok będzie wykonany jutro o świcie. A pan, panie majorze, za godzinę ruszy dalej. Do miejscowości Baranowitz.

Major wziął mają w ramce skórzanej i poszukał.

— Ależ Herr General-Lieutenant, to jest o sto kilometrów stąd na północ.



— Właśnie, — mroźnie przytwardził książę.

— Czy nie można wykonać zaraz wyroku? Niech żołnierze, którzy byli świadkami zelżenia oficera armji pruskiej, wymierzają sami karę. Nie odmówi mi książę tej przyjemności przed odjazdem.

— Właśnie odmawiam panu tej przyjemności, — odparł książę złośliwie, — dla zdrowia moralnego pana. Po czynach bohaterskich w Kaliszu stał się pan zbyt krwiożerczy. Panu z tem nie do twarzy. Wypacza to typ pocziwego Michałka w pantoflach i z kuflem piwa, który przed wojną pan godnie reprezentował.

Zdawało się, że porcelanowe oczy majora wypadną z orbit. Zabulgotało mu coś w gardle, ale salutował i odszedł. Tylko pręga na jego nabrzmiałej twarzy uwydatniła się karykaturalnie.

Książę zwrócił się do Ziuni po francusku.

— Pani rozumiała, że to bydlę skazało panią na rozstrzelanie?

— Zrozumiałam.

— Proszę iść do swego pokoju. Będę zmuszony postawić straż pod drzwiami. Ale proszę się nie obawiać. Przyjdę potem i porozmawiamy, czy to się nie da odrobić.

Ziunia powiedziała:

— Dziękuję, panie jenerale. Widzę, że mam do czynienia z gentlemanem.

Poszła z żołnierzami na górę. Weszła do swego pokoju. Przywitała go, jak rozbitek brzeg ocalenia. Nogi dygotały pod nią. Zrzuciła maskę wzgardliwej dumy. Poszukała deski ratunku. Oczy jej spoczęły na małej kopji „Ecce Homo Guido Reni...”

Przysłano jej kolację. Gdy żołnierz jej oddawał talerze, ujrzała, że kieszenie jego wypchane są owocami, widocznie przeznaczonemi dla niej. Poczuła się

bezsilna i skrzywdzona — ona, dziedziczka na Krzysztohorach!

Zapadł zmierzch. Po kątach zaszeptały widma. Zapaliła lampę i światło z pod matowego klosza rozeszło się po pokoju, płosząc zwidzenia.

Usłyszała kroki na schodach. Brzęk ostróg... No, teraz rozegra stawkę o życie. Zanim wszedł wypila szklankę wody.

Kroki zatrzymały się przed drzwiami. Gdybyż to wracał piękny kapitan z legjonów. Ale jego niema i może nigdy nie będzie...

Zapukano do drzwi. Zawołała: — Entrez! — Wszedł książę Kurt von Radenburg. Ukłonił się z szacunkiem.

— Proszę usiąść, — rzekła Ziunia.

Siedzieli naprzeciw sobie. Serce Ziuni biło mocno i niespokojnie. Gra stawkę o życie... O swoje pełne uroku młode życie...

Książę był zakłopotany. Jego ładna, wygolona twarz drgała nerwowo.

— Ujrzałem panią na sądzie, — zaczął, — taką niedbałą, królewską, nie raczącą patrzeć na tego płaza...

Ziunia zaśmiała się.

— Ten pański podkomendny nie cieszy się fa-  
worami pana.

— A nie! Plebejusz!

Skrzywił się i strzepnął palcami. Potem znowu wpatrzył się w nią, aż Ziuni zrobiło się niezręcznie.

— Pani mnie porwała, oczarowała... Nigdy nie spotkałem kobiety, z którą chciałbym mieć dzieci, albowiem kocham cię, o Wieczności! — mówiłem za Nietsemem. A oto jest ta kobieta, którą z pogardą nadczłowieka staje ponad życiem. I porwać się na oficera niemieckiego podczas wojny! Kolossal!

Poruszył się z ożywieniem w krześle.



— Więc cóż pan generał robi z wyrokiem czerwonego majora? — zaryzykowała pytanie Ziunia.

— Czerwonego majora? Ach, kolossal! — śmiał się książę, — z wyrokiem zrobię, co zechcę.

— To znaczy?

Radenburg zbladł i skupił się w sobie, jakby gotując się do skoku. Milczał długo. Wreszcie jak przez sen usłyszała jego cichy, oszalały głos:

— Wyrok skasuję w chwili, gdy pani mi odda rękę.

Ziunia wstała, wyprostowana, jak słup z umocowanym do niego celem. Radenburg chciał wstać również, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Drżał cały.

— Pani się zgodzi? — wyszeptał.

Ziunia odrzuciła w tył głowę gestem Marji Stuart wobec spych katów.

— Sprzedać się wrogowi — za cenę życia? — zapytała z taką pogardą, że książę szarpnął się, jakby otrzymał policzek i zerwał się na nogi.

— Ach, co tam wrogowie — mówił wzburzony — mnie dawno obrzydła ta wojna. Do spółki z hołotą. Z „czerwonymi majorami”. Ludzie wybrani wszystkich narodów stanowią jedną rasę. Jak orzeł, porwę panią i zaniosę do gniazda na szczycie. Niech pod nami przewala się potop ludzki. Będziemy tam samotni, wolni, szczęśliwi...

— Widzi książę — rzekła Ziunia — nazywa się pan von Radenburg. Przodkowie pana zagarnęli jakieś dworzyszczce słowiańskie — Radunie, czy Radno. Żyli wśród obcego sobie plemienia, depcząc je i tępiąc. Przyzwyczaili się czuć wiekuiłą swoją wyższość i odrębność. A my wśród odmiennego również ruskiego szczepu żyjemy w miłości. Nie wytępiłimy go, bośmy tępić nie chcieli. Ten chłop ruski, za którego mnie chcecie rozstrzelać, jest moim bratem. Bliż-

szy mi jest od pana. I krzyk jego niedoli nie da mi żyć z panem w wysokiem, orlem gnieździe...

Von Radenburg zaczął bełkotać nieprzytomnie:

— Mam tytuł książęcy. Mam niezależny majątek po matce. Bardzo duży majątek. Wystąpię z woj-ska po wojnie... Kocham panią, kocham panią — jedyne wcielenie snu mego na ziemi...

Umilkł, wyczerpany, a po chwili zapytał cicho:

— Czy to ostatnie słowo pani?

— Ostatnie.

Książę zrozumiał, że naprawdę ostatnie, a jednak stał jeszcze, szukając argumentu, sposobu.

— Kiedy panią jutro poprowadzą na rozstrzelanie, a żal pani robi się życia, proszę powiedzieć: — Chcę widzieć generała von Radenburg! — Egzekucja będzie natychmiast wstrzymana. W ostatniej chwili zechce pani żyć!

Skłonił się i wyszedł.

Ziunia spędziła noc bezseną. O świcie wszedł do niej oficer. Na schodach słychać było obecność żołnierzy.

— Czy chce pani mówić z generałem lejtnantem von Radenburg?

— Nie!

— Będzie pani rozstrzelana. Proszę iść.

Ziunia poszła. Po raz ostatni stąpa po tych schodach, dotyka obitych pluszem poręczy. Rogi jelenie w hall'u zdobyte na łowach przez ojca... Pies skam-lący u nóg, którego kolbą odpędza żołnierz... Każdy szczegół życia staje wypukły, wyrazisty, owiany nieznanym dotąd urokiem i pięknem. Ach, gdyby wiedziała... Jak Kordjan, patrzyłaby na świat dłużej, ciekawiej. Deklamuje z melancholją niedobrze zapamiętany monolog: — Może jest jaki kwiat, a ja go nie znam. Może dźwięk jaki struna daje...



Zjednoczone zawodzenie Hanuli, Maryli, Elżbietki i innych dworek ścisnęło ją za serce. Kajryszko rwał się ku niej, łamiąc ręce, Wincuk stał z tępą rezygnacją. Siły nie przeprzesz. Cierpieć trzeba!

Wtedy Ziunia nadobre rozczuliła się nad sobą. Przejął ją ranny chłód. Chciała poprosić o okrycie (skazańcowi nie odmawiają!) i gorzko się uśmiechnęła, że przeziębienie już nie ważne. Wszystko nie ważne.

Zatrzymali się w alei grabowej. Kazano jej oprzeć się o altanę. Stała i nagle powiedziała:

— Proszę poprosić księcia von Radenburg, żeby kazał leczyć arabską klacz, Halkę, o którą poszło. I jeżeli ją mają zarekwirować, niech lepiej on sam ją zabierze.

Ofices uśmiechnął się.

— Może pani sama zakomunikuje tę prośbę jenerałowi von Radenburg?

— Nie.

Oficer zrobił się zły.

— W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak wyrok wykonać.

Podniosły się lufy karabinowe... Krzyk protestu w nerwach, sprzeciw całego organizmu przeciw gwałtowi zzewnątrz... Ale nie... Nie zblednie... Odrzuca głowę w tył właściwym sobie ruchem...

Suchy trzask salwy... Ugodzono — czy nie? Czarno w głowie... Już umiera...

Kiedy się ocknęła, leżała na trawie. Nad nią klęczał książę von Radenburg. Promieniowało na nią spojrzenie pokorne, pełne miłości i zachwyty.

— To ja żyję?

— Żyje pani.

— A oni strzelali?...

— Ślepemi nabojami.

— Pan igrał ze mną — podniosła się, jak na sprężynach.

— Nie, pani — odparł twardo — chciałem ci pokazać, że miłość moja silna, jak śmierć. Tak kocham, że mogę posłać ciebie na śmierć.

— Dziękuję! Niebezpieczne uczucie. Wolę takie, które życie oddaje, nie zabiera.

Oczy Radenburga spłonęły ponuro.

— Czemże jest śmierć wobec miłości?

— Och, och! Jak patetycznie!

— *Ja z Selimów jestem rodu.*

*Co z miłości umierają...*

Jak stoi u Heinego.

— Nieprzystępna królowo lodu! Nieugięta, cudowna, urągająca śmierci! Proszę przebaczyć, proszę pozwolić mieć nadzieję... Ta ironja...

— Pruskiemi metodami pan mnie nie zdobędzie! Co mam teraz ze sobą uczynić?

— Co pani zechce. Jest pani wolna.

— Mogę odejść?

Ziunia niepewnym krokiem, jak po chorobie, poszła do domu. Pobiegł za nią jęk księcia.

Tegoż dnia von Radenburg usunął wszystkich oficerów z pałacu do oficyn. Sam zajął najskromniejszy pokój gościnny. Rekwizycje w obu folwarkach krzysztohorskich ustały.

Książę nie śmiał narzucać się Ziuni, ale czy to schodziła na taras, czy do ogrodu, czy do zabudowań gospodarczych, wszędzie zdaleka włóczyła się za nią długa postać zakochanego Prusaka. Gniewało ją to i drażniło. Książę prowadził systematyczne obłęzenie. Posyłał do oddalonego miasta po cukry dla niej, stawał w salonie piękne wazony z gustownie dobranymi kwiatami polnemi (dzięki Bogu, że nie z jej oranżerii). O zmierzchu grywał Beethovena (na jej fortepianie!).



Ziunia było głucha i nieczuła. Ale pewnego razu poniosło ją. Widząc kłaniającego się jej zdaleka, zawołała na swego legawca głosem nader serdecznym:

— Kurta! Kurta!

Pies nadbiegł w radosnych lansadach. Ale i von Radenburg zbliżył się olbrzymimi krokami, promienisty jak dzień majowy.

— Pani mnie wołała?

— Wołałam mego psa. Nazywa się Kurta.

Na twarzy jenerała przemknął cień śmiertelnej obrazy. Ale wnet zastąpił ją wyraz smutku.

— U was psy nazywają tak, jak u nas ludzi. Ja nazywam się Kurt. Szczęśliwy ten pies. Pani go woła do siebie. Chciałbym nim być.

I odszedł.

Odtąd Ziunia często wołała pod oknami księcia:

— Kurta! Kurta!

Ale pewnego razu w oknie ukazała się twarz wykrzywiona takim cierpieniem, że Ziunia umilkła. I odtąd przestała dokuczać księciu.

Po paru miesiącach brygadę von Radenburga przeniesiono na zachód. Przed odjazdem rzucił się do nóg Ziuni i jeszcze raz błagał o rękę. Zaproponowała, żeby został Polakiem. Wyszedł, belkocząc coś o honorze, o tradycjach rodu. Zataczał się, idąc przez taras. Drżącymi dłońmi nie mógł zebrać cugli swego konia. Wreszcie wsadzono go w auto. Odjechał.

Dobra Ziuni zostały i po odjeździe księcia pod ochroną władz okupacyjnych. Żyła we względnym spokoju, zakładając szkoły i kółka rolnicze.

Wojna przyzwyczaiła ludzi do wszystkiego. To też Ziunia bez zdziwienia ujrzała pewnego dnia samolot, który spuścił się na łąkę za ogrodem i z roz-

pędu stratawał pół poletka żyta. Z samolotu wyszedł oficer niemiecki. Podszedł do Ziuni i oddał jej list.

— Co szwaby mogą mieć do mnie? — mruknęła Ziunia i otworzyła list.

Podpisany był von Radenburg. Leżał ranny w szpitalu wojskowym w Rydze. Szukał śmierci, został poharatany okropnie. Czuje, że nie wyzdrowieje. Niechże ją ujrzy po raz ostatni.

Samolot jest do jej rozporządzenia.

— Ostatecznie, jestem chrześcijanką — zdecydowała Ziunia, której uśmiechała się podróż samolotem. I popędziła na górę przebrać się, nie zapominając, żeby jej było do twarzy. — Jak miłosierdzie, to miłosierdzie. Niech biedny szwab ma satysfakcję.

Samolot zaterkotał i startował z rozmachem. Patrzyła w dół na kratki i pasy pół, na czarne plamy ludzkich osiedli. Jak na mapie. Uśmiechała się ubawiona.

Gdzy przylecieli do Rygi, adjutant von Radenburg umieścił ją w wygodnym pokoju. Zaledwie zdążyła odświeżyć się po podróży zawiózł ją do szpitala. Weszła z bukietem białych róż z Krzysztohor. Księżę leżał straszliwie zmieniony. Uśmiech bezgranicznego szczęścia ukazał się na jego twarzy.

Ziunia podeszła i położyła mu na rękach kwiaty.

— Dziękuję — wyszeptał.

— A wie pan, że dotąd mi się wydaje o zmierzchu, że gra pan w salonie Apassionatę — rzekła Ziunia.

— A wie pani, że dotąd słyszę, jak woła pani na swego psa tym pieszczotliwym głosem:

— Kurt, Kurt! Niech na mnie tak choć raz...

Ziunia rzekła wzruszona:

— Drogi Kurt...

(Nie wyżyje. Nie zobowiąże to do niczego).

I dodała z zawstydzieniem:



— Teraz ten pies nazywa się Mongard.

Siedziała przy nim długo. Oczy jego zaczęły zasnuwać się mgłą. Z wysiłkiem zawołał adjutanta i lekarza. Z pod poduszki wyjął złożony papier.

— Patrzałem na tamte stosunki — mówił i prze-powiadam: nikt z was tam w Ober-Oście pod samą granicą się nie utrzyma. Żaden Gutscherr. A pani taka wyniosła... Tym oto testamentem zapisuję ci całe moje mienie. Ci panowie świadkami. Rodzina może kwestjonować. — Będzie to łączność pośmiertna. — Opieka moja na ziemi... Żeby nigdy ludzie tej głowy wyniosłej...

Opadł na poduszki. Zaczął konać.

\* \* \*

Ziunia siedziała przy biurku w ministerstwie i gorzko myślała o przepowiedni Kurta von Radenburg. Krzysztohory zostały za bolszewicką granicą. Ocalała z całego mienia tylko przerabiana w nieskończoność czarna sukienka i sygnecik pamiątkowy.

Naprzeciwko panna w jedwabnej bluzce manicurowała paznokietki, świecąc martwizną szminkowanych warg. Wystawiła nogi w cielistych pończochach — przechodzący szef z gustem spoglądał na nią. Zaczęto roznosić herbatę. Strojne panny posłały po ciastka.

— Na to zarabiają — na pończochy i na ciastka — żyła codzienną urazę Ziunia. — I mają klasę wyższą od niej. A ona, źle ubrana, niedokarmiona, kopuszek wydziału, ma z łaski XII-tą klasę!

Obrabiała „kawalki”, nie podnosząc głowy, nie racząc zauważyć, jak szyderczo na nią patrzą koleżanki, gdy popijała czystą herbatę.

Woźny zameldował uroczyście:

— Księżę von Radenburg do panny Krzysztohorskiej!

— Ach, to krewny Kurta! — pomyślała machinalnie Ziunia.

Ucieszyła się prawie, że choć taki do niej przyszedł. Zapomniano o niej w jej nieszczęściu. Już się nie pojedzie na letnie wywczasy lub polowanie do Krzysztohor. Uboga krewna... Usunęła się wsamotność i zdziżała.

W poczekalni powitał ją wynisły, antypatyczny Prusak. Powiała na nią buta junkierska, nie osłonięta nawet poetycznym nietzscheanizmem, jak u Kurta.

— Pani znała mego syna, Kurta von Radenburg? — zapytał oschle.

— Znałam, odwiedziłam go na jego prośbę przed śmiercią.

— O ja, ja — wykrztusił wyniosły pan — i rezultatem tych odwiedzin był — testament.

— Jak pan śmie — krzyknęła Ziunia zgóry — pan wie dobrze od świadków, że mi na tem nie zależało.

— Wiem od jego adjutanta. Pani sama ma ogromne dobra gdzieś tam na wschodzie. I dlatego zapewne nie będzie pani ubiegała się o tę drobnostkę, która stanowi tak drogą pamiątkę dla rodziny.

Wtedy Ziunia zrozumiała po raz pierwszy, że ma w rękach bogactwo. Że może znowu zasłonić się niem przed okrucieństwem i nieczułością ludzką. Daleką reminiscencją zabrzmiały słowa konającego Kurta: — Żeby nigdy ludzie tej głowy wyniosłej...

— Czego pan chce — zapytała.

— Ponieważ dotąd nie upomniała się pani o spadek i widocznie pani na tem nie zależy chciałem poprosić panią o zwrot testamentu. Jesteśmy zrujnowani wojną. Chciałbym móc rozporządzić się mieniem Kurta.

— A wola zmarłego syna nic dla pana nie znaczy,



— Nie wiem, czy ta woła w chwili obecnej, gdyby żył i był zdrowy, była tażsama z wołą konającego. Kurt był trochę warjatem, ale po wojnie rozsądek w nim byłby przeważył.

Ach, więc ten butny szwab przyszedł, by wy-skamleć u niej testament! Niech pożebrze trochę — chciwiec! Umie on kiedyindziej maltretować ludzi!

Słuchała przez dłuższą chwilę jego wmawiań, argumentacji, odwoływań się do znanej polskiej szlachetności i mglistych napomnień o możliwym procesie. Wreszcie rzekła zimno.

— Sentymentalizm niemiecki nie pozwala panu rozstać się z pamiątką wartości tylu milionów marek. Podziwiam zaiste pietyzm pański...

Butny pan poczerwieniał i szarpnął siwą brodę. Ziunia dokończyła z pogardą:

— Proszę zostawić adres u woźnego. Dziś jeszcze odeślę panu testament.

Skloniła głowę, jak królowa, na znak, że audjencja skończona i wyszła.

Wróciła do stolika i zaczęła tłómaczyć trudny akt dyplomatyczny. Ale w pamięci jej wciąż natarczywie przesunął się szereg bolesnych pozycji życiowych; spleta raty długu starej ciotce, która miała hipotekę na Krzysztohorach wpis za córkę Kajryszki, którego zamordowali bolszewicy, zdeptane obcasy w bucikach (trzeba przypięć „fleczyki”), rachunek praczeki, głodne wieczory o kawałku chleba...

Ale szarpać się o mienie, do którego nie czuła moralnego prawa... Bo nie kochała go przecie — pięknego Niemca, który grywał dla niej Apassionatę...

Prinz von Radenburg otrzymał testament i wyjechał natychmiast. Przejżdżając granicę, myślał z głębokim ukontentowaniem jak to dobrze, iż łaskawy Bóg właśnie Polki dumą obdarzył.

## P O Z W Y C I Ę S T W I E

Szeroki, szeroki świat...

Leżę wśród ruin zamku Czorszyńskiego w obramieniu dwóch hardych złomów kamiennych. Pod stopami memi twarda, ślizka trawa upłazu, po którym ongi wdrapywali się wrogowie, truchlejąc pod twejrzeniem nieubłaganych dział, straszących czarnem okiem na tle ażurowych strzelnic, zawieszonych kotarą niepokalanie szafirowego nieba.

Kaliny pochylają się ku mnie kraśne jagody. Cicho. W dali widać zakręty Dunajca, widać góry, jak czaszki powalonych olbrzymów, zarzucone smrekowym kobiercem na przyjazd zwycięscy. Jestem tu, gdzie jest dal. Tęsknota rozplywa się w głębokim westchnieniu ulgi, w nieprzytomnem ze szczęścia zatrzepotaniu swobody.

Przekroczyłam przestrzeń krokiem niepowstrzymanym, wstałam w dal, jestem w niej, a ona we mnie. Przyciskam ją do piersi upojonej, czuję, jak wpływa we mnie oceanem powietrznym, jak się we mnie rozwiewa i nicestwieje. Dali szafirowa, w zaborczym uścisku wędrowniczej radości uwięziona — dali schwytała: cicho, cicho, nie odchodzi!



Chwilę poleż na piersi zdyszanej, dopóki cię  
znów nie odrzucę, dopóki za tobą nie pogonię.

A teraz władam dala. Tętna biją mocno i młodo.  
Szeroki, szeroki świat...

Idę drogą dolinną. Za mną idzie huk wezbranego  
Dunajca. Pozrywał mosty, zalał nędzne pola uprawne  
i wypędził ludzi z dusznych legowisk w radość bez-  
domną, w szerz-zwodziicielkę. Na podeptanym trudzie  
przyziemców, na druzgach domków — ciasnotek roz-  
piecił się w mocy szalonej.

Huczy woda, rzuca się naprzód, jak nieugięta  
klinga stalowa, od licznych cięć chropowata i pogię-  
ta. Rzuca się i pręży w gwałtownem pragnieniu cio-  
su — cios nadludzki, wspaniały, który ziemię wstrzą-  
śnie i dusze bohaterstwem przeszyje.

I cios ten niech się stanie.

Choćby przez moją pierś!

A jeżeli mój cichy jęk może wzmóc ten grzmot  
nawalnej wody —

to niech mnie zmiecie!

Idę drogą dolinną — po kilku dniach wytchnie-  
nia w dolinny trud, w bitewne mokoło.

A wezbrany Dunajec szumi pieśń cudowną i dzi-  
ką; woda bezsłownie imię jeszcze nieznane, imię groź-  
ne i słodkie.

Jak ciężkie głazy w łożysku, których prąd unieść  
nie zdolen, osiadają w sercu głoski, wrywa się w nie  
imię jeszcze nieznane...

Pokój studencki, na stole szklanka z niedopita  
herbatą. Obok trupia czaszka, a nad nią w szklanym  
cylinderze arstry bezwonne i białe.

Odpoczywam w fotelu. W każdym mym człon-  
ku drga szczęśliwe przemęczenie, pieniąca się jeszcze  
we krwi radość przebycia i nie wygasła wędrowna  
ochota. Wkrótce pójdziemy z Magdą włóczyć się  
po Krakowie.

W zaśnione kąty, w pleśnie zaglądać będziemy  
ciekawymi, dzisiejszemi oczami.

Zapukano do drzwi. Wszedł ciemnowłosy mę-  
czyzna. Umawiają się z Magdą o przejazd za kordon.  
Brzmienie głosu nieznajomego rozeszło się po ner-  
wach, jak rozbiegane kropelki rtęci.

Odwrociłam głowę. Magda zapoznała nas. W  
pierwszej chwili otoczył mnie lekki zamęt, obłoczek  
rozchodzący się z nagle spłoszonego serca. Potem  
wyraźnie zobaczyłam i na wieki pamięcią ogarnęłam  
oszałamiające oczy — płomienne. Były to oczy nie za-  
śnione, lecz takie, które swój sen już posiadały i w za-  
chwycie w sercu noszą.

Magda musi mieć gdzieś. Zaproponowała  
nam, abyśmy razem poszli oglądać Kraków. Przybyły  
(Magda nazywała go panem Andrzejem) zgodził się  
chętnie. — Poszli — zostałam na parę godzin sama.

Wyciągam członki, cicho drzemie na jawie, bio-  
rę astry, strząsam z łodyg warstewkę wody. Kropel-  
ce lecą, lecą pod światło i rozciągają się w niem. Trzy-  
mam kwiaty, czuję w nich jeszcze niewygasłe życie.  
Rośliną się czuję wyrwaną z gleby, przesadzoną w  
kryształowy żywioł w sferę beznamietną. Odcięte ko-  
rzenie z grudkami ziemi, z pyłem brudnym i szarym.  
Krażą myśli, jak woda przeźrocza, miast gęstych i po-  
żywnych soków.

I nagle zachcenie, nagle nabrzmienie żył wszyst-  
kich lawą gorącą: korzeniem w ziemię wrość, jej so-  
kami upoić się i nieznany mocny aromat lata czuć  
uderzający do głowy, oplatający zmysły siateczką  
niewidoczną...



Jest gdzieś słodycz, która ból ustawiczny świata równoważy. Jest poługa, która raz tylko w nabożnie struchlałą duszę uderza i na niej piętno niezłomności kładzie.

Jest złoty klucz, który skarbiec mój głęboko ukryty, a mnie samej nieznany, otwiera. W tej chwili wiem, że jest we mnie ład nieodkryty, którym owładnie ten, kto go pierwszy dotknie stopą zdobywcy. Ku ładowi temu płynę przez toń, lejącą się zacisznie. Przypływam — czuję niby lekkie odrzucenie łodzi. Ty mi odtąd pozostać. Oczy biały obłok zasnuwa — łączka biała z globów rozwiewnych, z mlecznych kul kwiatowych, ni to dmuchawców. Wiem: by dojść do bramy — pokusy, trzeba tę łąkę z puchów niewinnych doszczętnie strącić. Żal kładzie się na duszy niemocą i łzami. Żal przeszkadza spełnić konieczność. Wytężam wolę, wolę ku nowym siłom obudzeniu. Stać się muszę, w pełni zakwitnąć, wydobyć z tajemicy mej dojrzałości dzieło przedziwne i mocarne, wydobyć je z wiedzy życia kielicha.

Niech się stanie wola moja!

Podnosi się we mnie chęć wezbrane, jak powódź huczająca. Aż do najwyższego kresu —

I nagle —

Tysiąc rumaków oszalałych szarpnęło się z więzi. Rzuciło się na łąkę białych puchów. Przeleciało i zostały tylko ślady kopyt, świeża posoka wiotkich łodyg zwilżone.

Wchodzę, wlatuję w ogród jakiś... Mocny i zdrowy zapach jaśminu, słońce niewidzialne praży, wsiąka we mnie wszystkimi porami, rozpręża w bezoporność, w której jest niezmierzona siła, w samą siebie zapadła, nad krawędzią tajemnicy w okrutnym dumaniu pochylona.

I naraz zaczynają się chwiać w złotych kądzielnicach złote dymy. Otaczają mnie obłokiem, zasnuwają wzrok, falami słodkimi zalewają piersi i oddech tamują. Wciągają mnie w złote wiry i w ich coraz szybszym krążeniu tracą niepostrzeżenie w otchłań zapamiętania. Leżę w niej odurzona, spowinięta w słodki, mocny zapach storczyków. Nic nie wiem o sobie. Potem znów zaczynają krążyć złote wiry, przeczeka się mgła na oczach. Patrzę na równy, niejasne, dzień letni, zdziwiona po raz pierwszy spostrzegam od kilku dni zapamiętane ściany.

Jeszcze w dobrotliwym bezwładzie spoczywam, a już świsnęła myśl, jak cios obucha. — Więc to tak? Klucz, co nowe wierzeje we mnie otworzy, zamknie na zawsze ogród biały i prosty. Zdepczą puchy kwiatów bielutkich rozpętałe rumaki. Lecz i w nowe, nieznane kraje poniosą. I stanie się cud, po raz niezliczony, a pierwszy i jedyny.

Jak woda głęboka — dusza moja. Śpią pod powierzchnią śpiewne onдины, jeno zaklęcia czekają, by wypłynąć ze swą pieśnią. Trwożnie pojmuje dusza, że raz tylko może zabrzmieć zaklęcie...

Więc wola moja niech się stanie!

Idziemy ja i Andrzej, po cichych ulicach wśród kamienic o własnych, odrębnych obliczach. Błądymy wśród grobów, aniołów i rycerzy witamy imieniem wyczytanem z lic marmurowych, zanurzamy się w zesłowiecza wirydarze jaskrawe.

Przytulnie spoczywa stare miasto na pleśniach miękkich, pod czcigodną patyną osłona. Sennie i niewzruszenie przysłuchuje się opowieściom, które między nami się snują.

Andrzej wrócił niedawno z więzienia, którym zaborcy sen o Polsce Niepodległej karzą. Opowiada:



Trumna zewsząd zamknięta, szczelnie żelazem okuta. W czterech ścianach zawarto życie człowieka. Sączy się światło — jałmużna przez okratowane okienko. Cisza nieprzerwana wśród murów grubaśnych, które, rozpalone więźnia nienawistnym wzrokiem, łzami strasznymi się poca.

Co godzina miarowo biją zegary, po korytarzach dalekich i pustych chodzi echo — istota nieznana, przez drzwi, przez ściany szpony niewidzialne aż do drzwi zapuszcza, szarpie i przewraca pod sercem zmięję zdań dawna wtulona, zadrzemana w zmęczeniu swej katowskiej roboty. I długo idzie przez korytarze echo-podzwonne, grzebiące żywego życia godziny...

Słowo ludzkie nie ozwało się nigdy. Stała się wkoło duszy atmosfera jednostajna i nijaka, jak mrok, w którym nic się nie dzieje. I zaczęły oczy znurzone krzesać ze siebie błyskawice olśniewające i cudne. I odtąd już zostało światło własne, latarnia morska wśród nocy burzliwej. A wszelkie światło z zewnątrz było jako nadmiar i widowisko radosne.

Bo światła już nie potrzebuje mrok przeświecłony i już przesycony, nie syci się niem więcej.

Biała równina bez końca... Na krańcach równiny — tajga zadumana, oszroniona. Groźne i nieubłagane są głębie czarne, chłód śmiercionośny i potwory — kudłacze kryją gałęzie nieobjętych cedrów i sosen, z arkad swych ziemi sięgających splatające wysokie pieczary. Śniegi iskrzą się złowrogo w noc gwiazdzistą, wyiskrzają tysiące srebrnych sztylceków, klujących oczy. Cisza groźna i zakrzepła.

Nagle na środek równiny wyczołgał się cień, w świetle nocnem potwornie wyolbrzymiały. Wilk samotny wyszedł na równinę i stoi sam. Sam w milczeniu mocarki — zimy. Sam przeciwko ukłociom mro-

zu, sam przeciwko wrogim paszczekom. Wśród nieukończonych syberyjskiej nocy błąka się — w pustyni, w swoim żywiole. Cała pustynia jest w nim, a on całą pustynię wypełnia sobą. Omija wszelką siedzibę, strzeże zazdrośnie niewidzialnych wierzei swego królestwa, —okregu spiętego srebrnymi kłamrami snu. Towarzysza, któryby się podkradł ku niemu, a świętokradzko dostojęństwo pustyni znieważył — rozszarpałby na strzępy. Jest bezmiar utajony w syberyjskiej nocy... zagubionej w tajgach i śniegach.

...A mnie się zdawało, że to nie mowa ludzka że to cedr w pustyni śnieżystej szumi stąd o wiele, wiele tysięcy mil...

Zalane słońcem miasto. Wesoła zieleń kasztanów w zacisznych uliczkach. Z balkonów nowych domów zwisają festony pnaczy. Obce i natrętne wtargają do duszy turkoty i odgłosy miasta. Poprzez dzień letni, wśród świadomości o wielu ciepłych dłoniach roznuwa się całun wpatrzony we własny ogrom pustyni... Żal nie do przebycia i nie do ogarnięcia. Żelazne koło samotnego istnienia. Zewsząd zwarte, zaklepane na wieki wieków.

Jakież dłonie olbrzymki złamać je zdoła?... A może ono miażdży wszystko, co okrag jego przekracza?

Szumi stąd cedr o tysiące, tysiące mil...

\* \* \*

Dzisiaj weszliśmy do kościoła Franciszkańskiego. Siedzieliśmy w stallach. Kwiaty okalające dwa witraże — dwa sny ekstatyczne, dźdżyły nam w dusze w półmroku zacisznym. Wniebowzięta twarz św. Salomei i św. Franciszka prosta, braterska modlitwa... Wszelkie dokonanie w brutalnym wirze walki stało się dalekie i obce.



Przebrzmiały zmagania się z pokusą jaskrawą codziennego dnia. Przewiało brzemie chwil zwątpienia i upadku.

Oto już po wielkim boju i zwycięstwie. Po szczeblach drabiny dosięgnięty próg niebieski. Trwa dusza w słodkim śnie o niepojętym i o sobie już nie wie.

Spojrzałem na niego. Piękno sfrunęło cicho na jego piersi i otworzyło drzwiczki zakute. Przycmiony blask zwycięskich oczu. Po twarzy ślizgają się miękkie tony, jak pierwsze fale po odtąjałem jeziorze.

Przeszliśmy ku witrażowi Boga Ojca. Olśniewająca wichura barw porwała mnie w zamęt światła. Po chwili ujrzałem władną prawicę w twórczym nakazie wzniesioną. Orgja twórczości, bezgraniczne rozpętanie woli w słońcu. Potężne od krańca do krańca: stań się. Przetapiały się zwolna tęcze słoneczne witrażu na krzyk olbrzymi, na wołanie muzycznym rytmem krwi, na śpiewanie w słowach ongi, jak perły na dnie morza utopione...

Wyszliśmy na planty. Siedzieliśmy długą chwilę pod nastrojem potęgi. Gdybyż dwie dusze złączyły się we wspólnym locie ku Bogu...

Śpiewało we mnie:

— I weź na skrzydła, skrzydła swe wichrowe,  
I nieś mnie w dale, dale szafirowe...

Powiedziałam, sama nie wiem kiedy:

— Moc twórczą trzeba we mnie rozpętać. Darzącą i dźwigającą. A ją rozdám ludziom. —

Popatrzył na mnie ciekawie i zapytał:

— Jakże to zrobić?

Odpowiedziałam:

— Przyjdzie kiedyś człowiek silny, aby moc twórczą we mnie rozpętać.

Stał i patrzył jeszcze na mnie przez chwilę. Zdało mi się, że usłyszałam zgrzyt żelaznego koła, które się ścisnęło szczelnie, samoobronnie.

Po chwili ujrzałam jego zwykłe oczy i usłyszałam głos, zaledwie o parę tonów głębszy:

— Czy wie pani, że mi nikt niepotrzebny?

— Wiem, ale może pan jest komuś potrzebny.

Szliśmy w milczeniu. Lekko szumiały drzewa, a głosy przechodniów odbijały się o uszy i ześlizgiwały z uwagi bez śladu.

Gdyśmy przechodzili koło kawiarni, powiedział do mnie:

— Wejdzmy. Tu jest teraz Magda. —

W istocie, przy stoliku w głębi siedziała Magda w swej szarej bluzce i prostym kapelusiku. Zapijając coś z filiżanki, w przerwach pilnie porządkowała swe notatki. Usiedliśmy przy niej. Melodia, wyniesiona z Franciszkańskiego kościoła, ciągle jeszcze uderzała we mnie niewidzialnymi skrzydłami. Powtórzyłam ją Magdzie, a oczy jej stały się na chwilę piękne i głębokie.

Andrzej zauważył:

— Jak można roztrwaniać skarby przeżytych chwil piękna i wyzuwać się z nich na czyjaś korzyść!

Odrzekłam na to:

— Czyż nie jest to właśnie rozszerzeniem i utrwaleniem bytu chwil pięknych? I jakaż inna droga pozostanie od duszy do duszy, jeżeli odrzucimy nawet jedyną na dziś, choć zachwaszczoną ścieżynkę piękną? —

— Jeżeli ma być siła, dusze ludzkie powinny być jak szczyty, a jedynymi drogami między nimi — otchłanie. —

— Tem lepiej — niech będą między ludźmi otchłanie. Wtedy porozumiewać się będą mogły tylko — dusze skrzydlate. —



Magda przytwardziła gorąco. Tak, między ludźmi powinno być porozumienie, a kto myśli inaczej, ten niegodzien budować nową Polskę. — Tu spojrzała wyzywająco na Andrzeja.

Ten zaśmiał się wesoło:

— Tylko ten może je budować — rzekł lekko, poczem wyszliśmy z kawiarni.

\* \* \*

Elegancki salon, pełen ludzi. Siedzą na kanapkach i krzeselkach, stoją wśród fałd ciężkich draperji u drzwi. But ordynarny depcze aksamitne kwiaty dywanu, ręka nieurobiona, a z bezsenności pomięta i żółkła, zrzuca nieuważnie popiół na atlas bez skazy w gwałtownym zapale sporu. Kłęby dymu pełną cieniutkami pasemkami dokoła liści filodedronów i palm. W powietrzu czuć apel nieustanny. Ona — Idea — niewidzialna, wielooka, patrzy zapalającymi się płomykami źrenic tych ludzi. Przez źrenice dojrzeć można serca, jak słoneczniki, obracające się ku słońcu, lub, jak czary lotosu, otwierające płatki ku księżycowi. Ręce uściskiem bezwiednym się łączą — w olśnieniu cudu, iż oto słowo staje się ciałem. Witają mnie:

— Przyjechaliście? do roboty?

— Do roboty — odpowiadam wesoło.

Wikta odciąga mnie na stronę i pokazuje list. — Pytają o was z Krakowa czy pomyślnie dojechaliście — mówi tajemniczo.

— Kto pyta?

— Wy go nie znacie. Pisze: proszono mnie zapytać, czy dojechała pomyślnie Wanda? —

— To pewnie Magda pyta — odszeptuję jej z wypiekami na twarzy. Nie, on nie mógł się zatroszczyć. Naturalnie, nie mógł. Poczułam się bardzo samotną wśród wielu ludzi.

Odwołał mnie kto inny. Zbliża się burza dziejowa, czuć ją w powietrzu. Trzeba iść dusze zagarniać siecią jedwabną i wczarowywać w nie poświsty burzy...

\* \* \*

Przyjechał. Wchodząc na zebranie zobaczyłam go odrazu w progu, rozmawiającego z ożywieniem z Wiktą. Podniósł na mnie oczy i przeczytałam w nich wyrok twardy, nieubłagany.

Podał mi rękę bez słowa i potem natychmiast zapomniał o mojej obecności. Małeńka, zatruta ranka wykwitła na sercu, jak stygmat. Odwróciłam się ku oknu. We framudze uśmiechnęła się do mnie twarz męczeńska, przezroczysta od błądności, ze starczą brózdą między ciemnymi brwiami. Samotność długoletnia, przymusowa starła z tej duszy głos, przykryła ją jednostajnym całunem tęsknoty. Bolesna odmienność nie pozwalała mu wcielić się w radosną czeredę. Widzenie tej twarzy upadło jak czysty płatek na serce moje i zakryło, przewinęło ranę na niem. Zbliżyłam się do niego, starałam się tknąć jego duszę dalekim poświstem wichrowym, przelatującym nad ziemią.

Roman uśmiechnął się suchotniczo i nieufnie. Idea pani rycerska objawiła mu się niegdyś w pięknie i chwale, a gdy zbliżył się do niej, przepołowiła się jej postać i ukazała wnętrze wysadzone ćwiekami. Bo zbliżyła była Dziewicą tortur. I był na jej łonie ciernistym, na łonie Ukochanej, tak długo, aż hymn miłości zmienił się we wściekle rżenie męki. Uśmiechy przefrunęły między nami. Arka mostu przerzuciła się z brzegu na brzeg.

— Przychodźcie do mnie czasem — powiedziałam, ściskając jego rękę mocno na pożegnanie.

Andrzej zdawał się tak zajęty poważną rozmową, że chciałam się z nim nie żegnać. Lecz w chwili,



gdy wyslizgiwałam się z pokoju, odwrócił się i przykuł mnie do miejsca spojrzeniem.

— Zaczekajcie trochę, wyjdziemy razem — powiedział prawie surowo. Serce się męcząco zatłukło w szczęściu i bólu. Chciałam jednak wyrwać się z pod cudzej woli, która mnie dotknęła spokojnie i bezwiednie. I nie mogłam. Podałam sobie ciche usprawiedliwienie: nie walczyć z miłością swoją, bowiem zwycięża bezbronny. I czekałam bardzo długo, lub może parę chwil tylko. Wyszliśmy na ulicę. W zmieszaniu szłam szybko, pragnąc jednocześnie przedłużyć tę niewiadomą drogę, którą mieliśmy odbyć razem. Wszystkie uczucia wirowały we mnie i machinalnie liczyłam płyty asfaltowe.

— Cóż się teraz będzie robiło? — zapytałam, aby przerwać milczenie. —

— Będzie się czekało chwili, gdy można będzie mieć tę jedyną orientację, polską, — odparł Andrzej, — i wypędzać zaborcę, którykolwiek zostanie tu na ostatku.

— A strzelcy nasi idą z Niemcami...

— Idą...

— I gdzież zamieszkacie?

— Nie wiem, — odparł Andrzej, patrząc z pod oka; — pewnie tam, gdzie się będę czuł najsamotniej.

— Czy to wam do pracy potrzebne?

— Tak, każdy człowiek bliższy krępuje. Ten, co walczy, powinien być wolny, powinien być pewien, że w chwili rozstrzygającej żadne rozkwilone uczucie nie uczepli mu się ręki i nóg nie opląsne. Powinien być wolny, — powtórzył z wyzywającym spojrzeniem.

— Tacy, jak wy, — odparłam twardo — uważają silne uczucia za grzech, bo naruszają doskonałą równowagę życia. Co więcej — psują życie, i tacy

nie chcą znieść ciężaru śmiertelnych przywiązań. Nie trudno przejść bohatersko przez życie, gdy się jest obcym jego treści i gdy się nic idei nie przeciwstawia. Nie, trzeba się ugiąć jęknąć pod brzemieniem uczucia, trzeba doznać, jak wszystkie fibry oplata, i wyszarpywać je wtedy, gdy pasorzytnie, aż pod korzeń serdeczny się wczółgnie — trzeba doznać tego i zwyciężyć. Taką potęgę nazwę bez skazy, —

Przeszywał mnie błyskami ironji, pod którymi serce cierpiało i mdlało: — Macie słuszość, taka potęga będzie bez skazy. Dźwigającym niech zwiększy się brzemień. Leczą o cóż to wam chodzi? czy chcecie mnie przekonać, czy siebie usprawiedliwić?

Zaparlo mi oddech i zrobiło się nieznosnie i strasznie w przelotnym muśnięciu krzywdy. Nagle zwróciłam się w inną stronę. — Zapomniałam, że mam jeszcze wstąpić w jedno miejsce — dowidzenia — rzuciłam mu i poszłam. W pustej uliczce dzwoniły kroki moje opuszczone, za którymi nie pogoniło ucho niczyje. I tylko czołgały się za moim śladem podłużne cienie wieczorne.

\*  
\*  
\*

Zaczęły się bolesne dni okupacji niemieckiej. Uragowisko z wolności, silniejsze, niż kiedykolwiek... Zgnięte oczekiwanie — i znowu praca w podziemiach...

Siedzieliśmy w moim pokoju — Roman i ja. Przez okno otwarte widać czubki drzew, sięgających niskiego piętra, i zorzę wieczorną. Powoli przygasa zorza wieczorna. Dalekie turkoty ucichają, opadają i zrywają się znowu. Wlatują zmierzchy o przejrzystych skrzydełkach niebieskich i szarych i muskają nam delikatnie skronie. Wchodzi zaduma, siada wśród nas i oczy nasze zatapia w sobie mądrze i głęboko, Roman opowiada o sobie.



— Widzicie, trzeba całe życie do końca, aż do najdalszego załamania przecierpieć i przemyśleć i wtedy niepodobna być takim, jak inni. Bo pomyślcie tylko: wiedzieć, że w każdej chwili wszystko, cokolwiek stanowi potrzebę i ozdobę życia, wyrasta z cierpienia, mieć uczucie, że się ciągle chodzi po cudzych głowach, po głowach tłumu, który sparty dusi się i rzezi pod nogami, a wtedy każdy krok jest męczącym stąpaniem po rozpalonem żelazie, lub po ćwiekach. Trzeba przejść nie tylko przez wszystkie więzienia ludzkości, przez przytulki nędzy, upadku, szpitala i spelunki, lecz i poznać te niewidzialne mury, którymi ogradzają i odgradzają dusze, trzeba znać tę atmosferę strasznego chłodu lub zamkniętej hermetycznie lawy, trzeba natknąć się i własnymi rękami dotknąć się trupów umarłych z głodu ciała lub duszy wśród milionowych miast, trzeba widzieć bezlitosność dla chorego człowieka, kradzież cudzego zdrowia i życia — żeby pluć takiemu życiu w oczy.

I jedyna jest droga, by się utrzymać przy życiu: stwarzać odnowa. Kiedy nie robię nic, żeby życie przetworzyć, żeby oczyścić te zaszlamione stawy, здаje mi się, że życie ustaje, i nachodzi mnie znowu martwa rozpacz.

— W takim razie ludzie powinni być silni, ogromnie silni, — mówię, — lecz gdy wszyscy będziemy tylko pracowali — ktoż będzie używał? —

— Jesteśmy za ubodzy na używanie. —

— A jeżeli krzyk młodości wybucha i woła o chwilę użycia? —

— To zdusić, jak skowronka, co wleciał między orły. Niech się nie odzywa. Nie wolno.

— Łatwo wam powiedzieć! To się odbarwmy ze wszystkiego, co ludzkie. Czyż my, chodzące formuły idei, potrafimy nietylko być żołnierzami, lecz i tworzyć życie? Czyż w was, pomimo wszystko, nie płacze

tęsknota za pięknem, za bliską, bliską duszą, za zżuciem rynsztunku rycerskiego?

— Płaczę tęsknota za takim stanem, kiedy można będzie pić, nie myśląc, że ktoś inny kona z pragnienia. Tymczasem wszystkie źródła zbyt są spleśniałe. Nie chcę pić. Nie mogę wytrzymać z tą wyostrzoną, niesłuchanie wyraźną pamięcią o obliczu życia. Istnieję o tyle, o ile przetwarzam: o ile dokoła mnie jest ruch, i o ile w tym ruchu zetrąca się moja nieuleczalna rana.

— Więc wy z pracy robicie sobie nieustanną narkozę? Toż słabość — nie znosić życia na trzeźwo. I co wy tam opowiadacie! Czyż nigdy nie pomyśleliście i o innej narkozie, o chwili, gdy dwoje staje się jednym i niema przegród między niemi?

— Tego być nie może. Ludzie są podobni do jeżozwierzów. Tylko mają igły dłuższe lub krótsze. Skulam się ciągle sam w sobie, bo boję się pokłuć. A nawet osobnik uigłony szczątkowo, gdy mocno przyciśnie do piersi, to pokłuje. —

— A ja — czy was pokłuje?

— Wy — wy to może nie, wy nie pokłujecie igłami, a możecie otruć, sami nie wiedząc o tem. —

— W jakiż to sposób? — zaczęłam się śmiać, gdy nagle niecierpliwie i rozkazująco szarpnięto za dzwonek. Poszłam otworzyć i w niewyraźnym zmierzchu poczułam raczej, niż zobaczyłam Andrzeja.

— Wchodźcie, — powiedziałam cicho.

— Zapaliłam lampę. Przywitał się z Romanem, który już cały zgaś i zapadł w siebie.

— Pewnie macie do pomówienia o sprawach — rzekł Roman i wyszedł. Andrzej siedział naprzeciwko mnie, z drugiej strony biureczka, stojącego pod ścianą. Zdawał się być mocno zmęczony.

— Mamy pójść z wami pod obozy niemieckie. Podobno znacie tam drogi. Musicie mnie zaprowa-



dzić tam jutro. Rozejrzemy się i ułożymy dalszy plan roboty. Idziemy jutro o szóstej. Wstąpię po was. —

— Dobrze — odpowiedziałam, czując wzburzony zalew radości.

Będziemy się spotykali codziennie. Andrzej siedział ciężko zmęczony. Odpoczywał.

— Mam tu trochę do pisania, — powiedział, rozwiewając błękitną ciszę, która rozsunęła się między nami: — można u was?

— Można — odpowiedziałam i odsunęłam książki z biurka.

Usiadł i zaczął pisać, nerwowo przewracając kartki, pokreślone niezrozumiałymi znakami. Wzięłam w rękę książkę i udawałam, że czytam, pochłaniając ukradkiem czyste linie jego głowy i roztapiając się w niezwykłym szczęściu jego obecności.

\* \* \*

Turkoczą miarowo koła wagonów. Noc zagląda przez okna i ze snopami iskier z lokomotywy wlatuje wieść o radosnej przygodzie, o krzyku budzącym echa.

Wysiadamy na małej stacji. Ostrożnie skradamy się przez miasteczko! Psy wyją, a księżyc wstaje za nami ogromny i czerwony. Oto już ostatni dom zostawiliśmy za sobą. Idziemy drogą polną, drogą chłodną od ros przedrannych. Czarna smuga zarysowuje się przed nami — pas aksamitu na gazach mgieł.

To las. Weszliśmy w podwoje zielone. Kępki twardej borówek i czarnych jagód szeleściły pod naszymi nogami. Kłuły nas igły sosnowe. Wreszcie zatrzymaliśmy się na dużej polanie.

— To tu — powiedział Andrzej.

Rozpaliliśmy ognisko i grzeliśmy się przy nim — Andrzej, Roman i ja. Las szumiał przeciągłe pieśni. Roman zerwał ogromną naręcz paproci — przy-

niósł i złożył przede mną. Cierpki, trochę nieprzyjemny ich zapach witał świeżością lasu.

Przebierałam wachlarzyki paproci, strzepując syjący się pyłek zarodników. Wkrótce wstało słońce, ukośnymi smugami przedarło się przez igliwie sosnowe. Las wypełnił się szmerem stłumionym. Przyszło kilku żołnierzy Polaków, którzy się wymknęli z obozu i trochę cywilów. Mała gromadka wypełniła polankę. Koło wygasłego ogniska pokładli się niektórzy, utworzywszy płat czerni mundurów, przerywanej czerwionymi plamami szlif i opasek na czapkach, które wyglądały jak krwawniki, upuszczone na spalenisko. Inni posiadali na pniach, lub oparli się o drzewa. Zagłuszył mowę lasu gwar przyciszony. Andrzej wszedł na pień i zaczął mówić. Potrącił głównię jakąś, ledwo w popiele w sercach tlejącą, i rozdmuchał ją w tęsknotę wolności. Oczy jego stały się śmiałe do szaleństwa i zapłonęły ogniem, jak gwiazdy niezwykle i świetne...

Ustał mi swego miejsca. Przemawiałam do nich w imię wielkiej miłości. Potem Andrzej powiedział do mnie:

— Bardzo to pożyteczne — rozwijanie i budzenie dusz. Lecz na to niema teraz czasu.

— Więc praca moja niepotrzebna? — zapytałam stropiona.

— Ależ owszem, to jest zawsze potrzebne, tylko za mało skuteczne. To jest woda na rany — nam potrzeba dynamitu.

W tej chwili podszedł Roman.

— Między nami jest sprzedawczyk — powiedział cicho. — Rozchodźmy się prędko i z osobna. Żołnierze go zatrzymają i dadzą nam czas się ukryć.

Wanda nie pójdzie sama — rzekł Andrzej. — Pójdźcie ze mną — zwrócił się do mnie.



— Dobrze, dobrze — rzekł Roman: — ja tu muszę umknąć jednego żołnierzyka — nie może tu pozostać. Postarajcie się nie zabiłakać, bo las ogromny. Droga do miasteczka odcięta.

Poszliśmy w gęsty las. Gałęzie zagradzają drogę. Ślizga się noga po mchach i kretowiskach. Wykroty zwalone i próchniejące z trzaskiem niegłośnym pod nami się załamują, odsłaniając wewnątrz robaczywe, pełne stonóg i wijów. Syknęła uchodząca żmija, wytrzeszcza z pod pnia oślinionego wilgocią swe ślepie ropucha. Wielkie pierzaste paprocie stoją bajecznie i zacisznie, ledwo, ledwo kołysną czasem swoim jasnym pióropuszem. Tryska czarna i czerwona krew jagód rozdeptanych.

— Nie mogę dalej — błagam Andrzeja.

Ściąga niecierpliwie brwi rozkazujące.

— Iść, bo wpadniemy.

Zdążam za nim zdyszana, a gałęzie kłują mi ręce, szyszki spadają na głowę, przyczepiają się do obuwia.

— Nie mogę dalej — błagam.

Lecz nagle słysząc trzask łamanych gałęzi, tętent konia.

Andrzej ogląda się z poważnym, skupionym wyrazem twarzy.

Każe mi się usunąć pod niskie, rozłożyste gałęzie świerku i zarzuca moje schronisko suchym chrustem. Widzę, jak się skrada poza drzewami, spokojny i nawet nie bledszy. W rękę jego rewolwer. Oddała się o kilka staj ode mnie i nagle łamie gałąź.

Spostrzeże go, spostrzeże...

Jeździec zatrzymał się, zsiadł z konia, pewnie go przywiązuje...

Ciężkimi krokami po rozrzuconym chruście idzie w stronę złamanej gałęzi. Nagle powietrze rozdarł gwizd, słysząc tępe uderzenie, koń parsknął i runął

z kopyta w dal, z coraz to cichnącym tętentem. Słychać ordynarne klątwy żołnierza; tupot jego ciężkich butów. Odbiegł drogą leśną za koniem.

To Andrzej odjechał i zdoła uciec. Jak dobrze, jak dobrze!

Czy to żołnierz wraca? A może to inny człowiek z pościgu?

Jakieś kroki lekkie, pewne. Idzie wprost ku mojej kryjówce... Coraz to bliżej, widzę przez gałęzie koniec buta... Schyla się, odgarnia gałęzie.. Wezmą mnie... Odkryli... Stało serce...

— Wando — woła cicho głos Andrzeja — prędkiej w drogę. Wypuściłem mu konia, myślał, że to ja odjechałem i poleciał, jak opętany.

Biegniemy zziądani. Nagle uświadamiam sobie dotknięcie ręki Andrzeja, nie wypuszczającej mojej dłoni i pociągającej mnie za sobą. Po chwili zapominam o tem.

Strzał w oddaleniu. Andrzej, nie zatrzymując się, pociąga mnie za sobą i mruczy:

— Dają nam znać, gdzie są...

Po pewnym czasie zatrzymuję się, zmęczenie jest silniejsze od nakazu władnej ręki.

— Możemy teraz iść, byle się nie zatrzymywać ani na chwilę — mówi Andrzej i zwalnia kroku.

Siły mnie opuszczają. Opieram się o pień.

— Idźcie sami, ratujcie się. Ja tu pozostanę. Może mnie nie znajdą.

— Za pół godziny z pewnością was tu znajdą — mówi Andrzej szorstko. I niespodziewanie bierze mnie na ręce.

Szarpnęłam się i znieruchomiałam w jego żelaznych ramionach. Próżny opór. Niesie mnie. Wsłuchuję się w mowę jego ramion. Milczą i niosą mnie mężnie i niestrudzenie W końcu słabną.



— Już odpoczęłam — mówię wtedy i Andrzej spuszcza mnie na ziemię. Idziemy dalej. Na niebie zbierają się chmury. Wicher targa gałęzie. Przed nami otwiera się jasne okno w olszynie, a przez nie wzrok strudzony zatapia się w czystej szybie. Małe jezioro wśród boru, leśne oko wypieszczone odbija zmienne krajobrazy chmur. Chwieją się nad niem paprocie, grają cichutko trzciny i tataraki szablaste, a turkusiki — niezapominajki, wpięte w szare kitki liści, zaścielają grząskie brzegi. Padam bez sił na mchy. Andrzej rzuca grube gałęzie na turkusowy dywan, gniotąc go i rozdzierając bez litości. Po gałęziach przechodzi grząski brzeg i czerpie wodę z jeziora. Przynosi mi trochę wody w dużym liściu i wiele razy przechodzi tam i z powrotem, by ugasić moje pragnienie. Potem pije sam, czerpiąc wodę dłońmi i rozpryskując ją wokół w powietrzu.. Bryzgi na tle chmurnego nieba są otwiane i nie błyszczące. Przysmykam oczy na chwilę. Leżeć tak, leżeć bez końca... Gdy otwieram znów powieki, Andrzeja niema. Wynurza się z gęstych zarośli poza mną i podaje mi garść czarnych jagód.

O tak, każdy czyn, każdy gość jego jest tak spokojny i prosty, tak konieczny i pewny, jak gdyby przed wiekami nakreślony. Tak biegnie planeta po swej orbicie i nie daje się obłąkać... Tak pewnie i spokojnie biegnie planeta po swej orbicie dla nikogo ze swej drogi nie zbaczając.

— Dlaczego nie uciekliście konno? — zapytałam Andrzeja.

— Bo uważałem, że lepiej uciec pieszo — odpowiedział niechętnie, a po chwili dodał z zimnem spojrzeniem:

— Tylko nie posądzajcie mnie o jakąś specjalną względem was galanterję. Tak samobym postąpił ze słabszym towarzyszem.

Tak, postąpiłby tak samo. On jest taki.

Wlokę dalej obolałe nogi po zeszłorocznym igliwin, szeleszczącym pod obuwie, jak setki małych gadzin. Nie śmiem zapytać Andrzeja, czy również jest zmęczony, lecz widzę, że krok jego ociężał, a włosy zmoczone potem przylepiły się do skroni. Chmury stają się coraz to gęstsze. Sina czarność rozlewa się po lesie sosnowym. Będzie burza. Wychodzimy na łakę obszerną, pośrodku łaki — pagórek z kępą drzew, kołyszących się gwałtownie.

Za łaką — znowu las. Na skraju znajdujemy szałas porzucony, koło niego ognisko. W popiele garść porzuconych kartofli, a w szałasie zapomniana sukmana. Pastuszkowie musieli tu obozować. W czasie burzy nie wróca. Spożywamy kartofle i wsuwamy się w głąb szałasów. Wicher wrzuca za nami kurzawę rozmiecionego popiołu. Konary drzew skrzypią żałośnie. Zapada wieczór. Siedzimy tak blisko, a tak daleko pościg i walka.

— Zimno — szepczę drżąc, i Andrzej okrywa mnie sukmaną.

— A wam nie zimno? — pytam.

— I mnie zimno — odpowiada wesoło — podzielimy się okryciem.

Nasuta prawa połowę sukmany na swoje ramiona i obejmuje mnie jedną ręką, byśmy się szczelniej okryć mogli. Robi to tak prosto, że żadna myśl nie powstaje w mej głowie.

Zapach przepracowanej pilśni sukmany łechce przyjemnie moje nozdrza. Lecz i to przechodzi! Pozostaje tylko wrażenie ciepła od jego dotknięcia, nieopisane szczęście spoczynku przy jego boku.

Potoczyły się po niebie pierwsze łoskoty burzy. Coraz gwałtowniej, coraz potężniej zrywa się głos burzy. Piorun uderzył w kępę drzew na wzgórzu pośrodku łaki. Miotnęła się olśniewająca błyskawica...



Buchnął ogniem najwyższy wierzchołek. Płomień lekko przeskakiwał z gałęzi na gałąź i wydierał z cienia na widok coraz to nową czarną linię, skracającą się boleśnie w szkarłatnej kąpieli. Kolumna ognia rozwijała się w wachlarz, związała się znowu w kolumnę i rozwidlała w pióropusze.

— Zgaśnie ta kaskada ognia i pozostanie spalenisko — powiedziałam.

— I niech zostanie — doszedł mnie głos Andrzeja, przyciszony rykiem burzy: — niech buchnie wielki płomień — choćby na chwilę. Lepiej spłonąć od razu, niż tlić się długo w ostygającym popiele. Wszyscyśmy pochodnie i wszyscy na chwilę płoniemy wśród nocy.

Nagle ręce jego bezwiednym skurczem przyciskają mnie do siebie. Szepcze chrapliwie:

— O Boże, o Boże, azali moc moja kamienna, a ciało moje miedziane?

Nagle obrócił mnie ku sobie. Głowa moja znalazła się na jego piersi. Na ustach moich spoczęły jego usta wymowne i szalone...

Skrzypiały, uginały się drzewa, pijane, nieprzytomne od wichru... Raz wraz były pioruny i gdzieś waliło się drzewo z jękiem i trzaskiem bolesnym gałęzi. Luna z płonącego wzgórza zaglądała do wnętrza szaleś.

Andrzej odtrącił mnie. Zmagał się ciężko ze sobą.

— W pierwszym napotkanym kościele dam ci imię moje — będziesz wtedy moja — w tej chwili nie mam do ciebie prawa. Ale życie moje należy nie do ciebie.

Pochyliłam głowę, mówiąc cicho:

— Wiem o tem.

\*  
\*   \*  
\*

Jasne słońce błądzi po pokojach. Jasne słońce odświeża z głębi lustra, które wczoraj widziało nasze uściski. Chodzę po dwóch małych pokojach, w których zawarta jest wszystka radość człowiecza od wieków. Mądrość jest w słowach wieloustnych róż, szepotanych woniami. Karminowe róże na biurku mojem... A tam obok twarda pościel jego.

Oto przyjdzie za chwilę.

Otwieram drzwi, zanim odgłos kroków zamrze przed progiem. Idzie za nim Roman. Nie widziałam go dawno.

— Nie spodziewałem się zastać was tutaj — mówi Roman.

— Jestem tu zawsze — odpowiadam wesoło.

Roman wszedł bardzo powoli i ciężko usiadł na krzesło. Powłóczył po ścianach oczami gasnącemi.

— A więc pobraliście się, szczęście Boże. Ale słuchajcie, Andrzej — zmarnujecie Wandę. To wam powiadam. Za szorstkie macie ręce dla niej.

— To już rzecz Wandy — dać się zmarnować, lub nie — odparł Andrzej oziębło i zaczął wyjmować z szuflady papiery.

Będą mówili o sprawie. Idę do drugiego pokoju. Głos Romana jest taki smutny. Takim głosem odmawiają msze na mogiłach. Czemu głos jego dziś taki smutny?

Czyż jego dusza nie znosi cudzej radości, która światłem bardziej cień jego załamań uwypukla? Oddam mu szcudrobliwie dar słońca ze mnie. Odrzucę jasność potężną smugą w jego duszy. Rozdam me serce smutnym, jak hostję. Niech będzie w każdym opłatku całe niepodzielne słońce, które rozdawane, nie zmniejsza się nigdy.

\*  
\*   \*  
\*



Dziś jestem wolna wieczorem.

Zazwyczaj jego niema w dzień, a mnie wieczór.

Dziś będziemy razem długo. Dziś będzie cicha rozmowa, w której może się uchyli krawędź żelaznej obręczy i wyjrzy z poza niej prawdziwe oblicze duszy.

Zamknięto mnie w pokoju o grubych drzwiach. Słyszę za drzwiami niejasne szmery mowy, lecz słów rozróżnić nie mogę. Domyślam się tylko i z mych domyslników, jak z cieniutkich niteczek, wysnuwam cały wzór. I nagle — opadną drzwi i zobaczę, że tam jest coś innego, coś zupełnie innego, że mnie oszukało tętno serca, o którym sądziłam, że jest jasnowidzące i czujne.

Pewności chce serce moje, pewności chce wszelkie serce od początku świata.

Chwila — ostry miecz wisi nademną. Kiedy, kiedy spadnie ten miecz i przetnie życie na dwie połowy — szczęśliwą i czynną i już tylko czynną?

Chodzę po pokoju i czekam, i czekam...

Przyszedł na koniec.

Zapytał mnie: — Idziesz już, Wando?

— Nie, dziś siedzę w domu.

— Szkoda, myślałem, że cię odprowadzę kawałek drogi. Idę do Magdy.

— A czy nie mógłbyś zostać? — zapytałam nieśmiało.

— Masz ze mną do pomówienia?

— Sprawy nie mam żadnej, ale tak wogóle...

— No, to w takim razie pójdę do Magdy, bo już jej obiecałem. Przyjechała niedawno i chcę z nią porozmawiać. Tylko nie czekaj na mnie, bo my umiemy czasem całą noc przegadać.

Pożegnał się ze mną i wyszedł. Dlaczegożby miał zostać? Wszak on nie uznaje wyłączności i nie pozwala uczuciom osobistym, by opłatały mu nogi i prze-

ślaniały horyzont. On nie zasklepia się nigdy w obcowaniu dwojga ze sobą. Należy do wszystkich i do nikogo. Dlategoż ma być inaczej?

— Nigdy słowami nie powiedział mi „kocham“.

Kłamliwe płomienie pocałunków... Czyż można im wierzyć?

Nigdy słowami nie powiedział mi „kocham“.

O, wyszarpnąć mu z serca wszystkie słowa, które tam tkwią! O, poznać do końca wszystkie drgania przez mój słuch, i wzrok, i usługę, domyslną pamięć sfalszowane! I nigdy, nigdy nie doczekam się otwarcia tej bramy, i umrę, patrząc w nią beznadziejnie...

Tylko on mnie wziął. Wziął, bo mu całą istotę oddałam. A sam pozostał nieprzenikniony. A duszę ukrył głęboko — nie sięgnę dna.

Lecz może dla Magdy robi wyjątek? Może tej pracownicy bez załamań, bez myśli pierzchającej w dziedzinę zaciszne snu, całej na powierzchni, całej w ruchu, bramę ową otwiera?

Może teraz, w tej chwili snuje opowiadania o sobie, daje jej do rąk latarnię, by weszła w podziemia jego tajnych przeżyć...

Siedzą razem — jest im dobrze.

Dźwięki jego mowy — błyski jego myśli — nie dla mnie...

Padam w krzesło i kołyszę się w smudze nieznośnego, jednotonnego bólu. Kołyszę się, jak w melodji jakiejś najbardziej przyrodzonej i właściwej. Z rozkoszą wdławiam dłoń w dłoń, palce w palce i wtóruję posępnej pieśni we mnie chrzęstem rozpaczliwym rąk. Długa, długa, jednotonna melodja bólu...

Nie było ciebie dotąd w jasnym mem życiu. Skądżeś przybył, gościu niewołany? Wiem, wiem: nie rozstaniemy się odtąd.



Wyczerpuje się melodia bólu. Pocieszam się nią, dźwigającą się z ziemi:

— Nie potrzeba mi nic. Dam uczucie niezapłacone. I łzy niezapłacone, —

I wgłębiam się w siebie, zapytując tajemnych możliwości we mnie.

Cicho obrócił się klucz w zamku i wszedł Andrzej. Zdziwił się.

— Jakto, nie śpisz jeszcze? — pyta niezadowolony.

Mam uśmiech niefrasobliwy i pogodny.

— Rozmawiałam ze sobą — odpowiadam. — Zamarzyłam się.

— Nie należy rozmawiać ze sobą — mówi Andrzej — stąd rozdwojenie i chwiejność. Patrząc w siebie — to patrzeć w szkło o wielu szlifowanych kątach, w których nasza pojedyncza osobistość się powiela. Zamiast jednolitej jaźni, dostrzegamy ich kilka, i wszystkie walczą ze sobą. Człowiek powinien być w sobie, jak jedna linja drogowskazu. Inaczej nigdy nic nie dokona.

— Kto mi dowiedzie, że celem ostatecznym jest dokonanie, a nie ta walka wewnątrz mnie? Kto mi dowiedzie, że wynik mojej walki zewnętrznej nie zależy od wyniku walki tam, w głębi?

— Może to wszystko prawda, lecz teraz niema czasu na to. Może kiedyś, kiedyś... Lecz teraz na długo potrzebny człowiek jednolity, pozbawiony tej nieśczęsnej liryki i hamletyzmu, które przez tak długi czas zatrwały ludzi niemocą.

Lampa zaczęła gasnąć. Andrzej powiedział:

— Romana posłali do Kijowa. Złapali go Niemcy, kiedy przepływał Zbrucz.

— Już go nie zobaczymy, czuję, że go już nie zobaczymy — rzekłam, z trudnością powstrzymując łzy.

— Gdzie drwa rąbią, tam drzazgi lecą — odparł Andrzej spokojnie.

Odszedł już do siebie, a ja ciągle jeszcze patrzyłam w gasnące światło.

Gniótł mi piersi ciężar przywiązania i pociechy, której nie zdążyłam oddać Romanowi — przez brak żarliwości może? Nigdy uśmiechem pogody nie wydobędę z głębin jego bolesnego serca uśmiechu, nigdy nie położę rąk delikatnych i przychylnych na jego tajonej ranie i nie sięgnę aż do korzeni, do ledwo przed sobą wyjawionej przyczyny jego smutku.

Nieoddany gniótł mi piersi ciężar przywiązania. Nigdy nie zobaczę go więcej!

\* \* \*

Dziś Andrzej przyszedł surowy i posępny.

— Romana postrzelono przy przechodzeniu granicy — umarł w szpitalu. Zdołał przesłać dwie kartki: jedną do nas, drugą — osobiście do ciebie.

Tak kamienieje w bólu dusza, dawno przygotowana, a witająca straszną wieść, jakby po raz pierwszy w nią uderzyła. Jakto, nigdy nie stanie przed nami żywa twarz przyjaciela? Ta głowa leży w ziemi, zniekształcona, skrzepami krwi pokryta? Jak objąć, jak zrozumieć, jak zgodzić z każdodziennym istnieniem taką wieść nieodwrotną? Cóż jest trup?

— Oto twoja kartka — powiedział Andrzej i włożył mi ją w rękę, odosobnioną od woli.

— Mężniejszą, mężniejszą bądź, Wando — dodał niezwykle miękko i położył mi rękę na głowie.

— Wando — pisał Roman, — mam umrzeć i przed śmiercią chcę wam to powiedzieć: kocham was. Zdawało mi się nieraz, że dusze nasze są z jednej



tkanki. Zdawało mi się, że tak podobni do siebie, musimy się kochać, dążąc do złącia tego, co jest tożsame i tylko rozdzielone w tym bycie. Stało się inaczej. Pokochaliście tego, który był inny i za to, że był inny. Niech tak będzie. Dziękuję wam za to, że istniejecie, za to, że ukazaliście się mym oczom.

Bo oto ja, którym na twardej mej służbie wszelki żar osobisty w mej duszy wytracił i rozplynął się w beznamiętnej sferze ogółu, i rozsypał, jak piaskowiec pod ciosem woli — stałem się przez miłość znowu potęgą skupioną i twórczą, znowu sobą. W miłości jedynej odsoniła mi się nieznana treść świata i spoiła mnie z nim inaczej jakoś, niż dotąd, lepiej.

Dziwcie się, Wando. Mocne miłowanie moje jest niezniszczalne. Czyż może taki jasny żar, taka beznamierna potęga miłowania kiedykolwiek się skończyć? Więc ja, pozytywista współczesny, który dawno zerwał ze wszystkim, co matematycznie nie dowiedzione, ja teraz uwierzyłem w nieśmiertelność duszy. Jej dzielność, jej napięcie nie może się skończyć.

Błogosławię tę wiarę i umieram spokojny. Nie żałujcie mnie — mój grzech — samotność moja i duchowy bezprzytułek wśród ludzi — już odkupiona przez miłość dla was. Pracowałem dla świata już nie oburzeniem mózgu, potępiającego chaotyczną dysharmonję społeczeństw, lecz buntom serca, zdolnego do żywych przywiązań. Cenię serce żywe, pojedyncze, osobnicze, bo z niego miłość wyrasta i pewność nie-skończonego bytu. A pewność ta, która życia nie odbiera z uroku wartości samoistnej, zamkniętej w sobie, jedynej — pewność ta dała mi prawo zwalczać ciała — narzędzia chwilowe, by z nich dusze upadłe wyzwalać i skierowywać ku modlitwie o nową formę, o nowe, czystsze pracy narzędzie. A tak przezwyciężona we mnie śmierć własna i co trudniejsze — śmierć cudza.

Dziękuję wam za to, że jesteście. Wiem napewno, żeśmy bratni i że się połączymy. I w szczęściu wie-rzącej miłości mówię wam: — Dowidzenia!

— Roman mnie kochał — mówię cicho i ze czcią.

— Wiem o tem dawno — odpowiada Andrzej — ale ty wiesz tylko to, co powiedzą słowa.

— Może wiem i więcej, lecz czyż można ufać własnym przeczuciom?

— Należy ufać własnym przeczuciom. Cóż jest warta pewność, nie przez własną wrażliwość zdobyta, lecz podana w słowie?

O, to wieczne błaganie się w przeczuciach! O krwawe wyczekiwanie, czy się nie rozpali z nikłej iskry światło jedyne i wiecznotrwałe! Po co, po co ta sieć, wrzynająca się w ciało?

Roman był tak bliski i znany. Roman tak łatwo otwierał duszę przedemną.

— Umarł jedyny człowiek, który był mi oddany — mówię ze smutkiem.

— Jedyny człowiek, który był ci oddany — powtórzył Andrzej powoli z dziwnym jakimś wyrazem i wyszedł z pokoju.

\* \* \*

Gdy wróciłam, Andrzej był już w domu. Uści-snął mi dłoń i zamknął drzwi od swego pokoju.

Czytałam rozdartą ostatni numer pisma i mimowoli łowiłam uchem najmniejszy szelest za drzwiami.

Usiadł przy stole. O stół tępo uderzył jakiś przedmiot stalowy. Położył na stole — co? Czyżby?

Tak. Wyjmuje magazyn. Rozsrubowuje na części. Czyści swój rewolwer.

Prawda — przychodzono do niego dziś rano. Tamten czarny z oczyma wesołego hulaki, któremu



zazdroszcza ludzającego wyglądu. Posyłają teraz jego... Dokąd? Czy wróci?

Przyjdzie jeszcze do mnie. A może nie...

Czyż mogę wymusić na nim chwilę, których może dać mi nie chce? Czyż mogę brać sama i żądać, czego nie dano?

Ukłękałam przy drzwiach i, przyłożywszy ucho do ledwo dostrzegalnej szpary, łowiłam każdy ruch jego, niepowstrzymanym skurczem miłości wchłaniałam odgłos najmniejszy. Zbliżył się do okna. Pewnie spogląda w gwiazdy samotne i dalekie. Teraz chodzi po pokoju.

Zatrzymał się naprzeciwko moich drzwi. Wejdzie... Podniosłam się szybko i bezszelestnie. Nie — nie wszedł — znowu chodzi. Przełożył broń ze stołu na stolik nocny. Nakręca zegarek. Kładzie się ubrany. Pewnie jutro wcześniej musi wstać. Zgasił lampę...

Nie mogę dosłyszeć jego oddechu... Tam głowa jego ciemna, przymknięte oczy najdroższe...

Przewrócił się jeszcze raz. Może to było jego ciężkie westchnienie przez sen?

Słuchałam zmartwiała i wyprężona długo, bez końca. I wchłaniam tylko ciszę. Wielkie milczenie nocy... Zaturkotała zapóźniona dorożka, i był to turkot samotny i bolesny, jakby oddalał się nazawsze ktoś drogi.

Powoli z nieskończoną ostrożnością odmykam drzwi. Świecę stawiam na ziemi, siadam na progu i patrzę. Twarz jego zwrócona na pokój. Sen położył na niej tony bezbronności młodzieńczej i miękkiej. Wpatruję się czujna, gotowa w każdej chwili zdmuchnąć świecę, gdyby się poruszył.

Oczy, oczy gwiazdziste, czy długo jeszcze będziecie oglądały blask słońca, czy długo jeszcze będziecie odbijały w sobie mleczne gościńce gwiazd?

Dłonie, dłonie hartowne, czy kiedy spoczniecie na włosach wybranej?

Usta, usta pobladłe, czy okraszają was jutro płomienie słów hartownych — i pocałunków?

Czoło, czoło ciemnobramne, czy jutro na tobie będzie duma dokonań, czy plamy krwi?

Ciało, ciało młodzieńcze, czy jutro nie będziesz miazgą trupa?

Pójdiesz tam, gdzie ci każe to, co wyższe od nas. I nie zostanie mi po tobie nic, prócz prawa i możliwości śmierci takiej samej, jak twoja.

A jeżeli potrzeba, to z sercem zdruzgotanem pójdę dalej.

Bowiem nad nami jest to, co wyższe od nas.

Przyjdź do mnie, wlej się w żyły, pełne gorączki i trucizny męczarnianej — siło, siło.

Patrzą w żywą miłość moją, którą mi mogą odebrać na wieki.

Patrzę w martwe i straszne cierpienie moje —  
I rosnę, rosnę —

Przywalił ciężar niewymowny moje barki. Próbuje, czy dźwignę. I śmieję się bezdźwięcznie, nie słysząc chrzęstu wszystkich więzadeł.

Oczami ssę każdy rys najdroższy, by go wcielić w serce na ten czas, gdy przed oczami będzie pustynia.

Wtapiam oczy coraz to bardziej ołowiane i nieruchomiejące w twarz ukochaną, w twarz najukochańszą na ziemi,

Kłucie igieł w oczach i sercu... Nie trzeba łez —  
siło, siło...

Zapadam gdzieś w wir posępny...

\* \* \*



Obudziłam się na progu. Łóżko było puste.  
Potrącając nogą świecę wypaloną, podeszłam do zegarka.

Dopiero piąta. Odszedł pewnie niedawno.

Rękami sztywniejącymi dotknęłam wklęsnięć pościeli. Tu była jego głowa...

A tu, na plamie rozlanej wody, odbity kształt rączki rewolweru.

Siadam na jego łóżku. Niemiej na wiele godzin.

Zagwizdały syreny fabryczne na odpoczynek południowy.

A, tak — teraz czas mi iść.

Więc idę, widzisz, Andrzej, idę.

Bowiem nad nami jest to, co wyższe od nas.

\* \* \*

I odszedł tak bez pożegnania — na zew tej — silniejszej odemnie.

Po długich dniach przybiegł do mnie wieczorem zdyszany i zadowolony Henryk.

— Andrzej wraca — ogłosił.

Zapytałam zupełnie spokojnie:

— Czy wykonał zlecenie.

— Wykonał.

— To dobrze.

I zaczęłam mówić o czem innym.

Przeszło kilka dni. Codzień wstawałam z szaloną nadzieją: on dzisiaj wróci.

Przeszło kilka tygodni.

Robiłam to, co zwykle. Czasami zmagало mnie cię, bezustanne klucie serca, a oczy suche i ołowiane bolały, nie chcąc przelać łez słabości.

Dźwigałam się z rozpacz i przyzywałam omdlewając:

— Siło, siło —

Jak rośnie serce w męczarni! Jest ona łóżem prokrustowem, które rozciąga serca zbyt małe.

Nie wróci już może Andrzej i nie dowiem się nigdy, co było prawdą, a co przypuszczeniem pragnień mych i nadziei? I nie usłyszę z nich nigdy słowa, które jest wiekuiste i napisane między gwiazdami.

A tylko niepokonana, nie dająca się przekonać nadzieja skamlała nieśmiało:

— On wróci, on wróci...

I była chwila, gdy unosiła się moc ma nad cierpieniem, jak orzeł skrwawiony nad otchłanią.

I była chwila, gdy skonało we mnie wszelkie oczekiwanie w śmiertelnym przemęczeniu.

Siedziałam o zmroku w pokoju Andrzeja. Zabite leżało u mych stóp złudzenie powrotu.

Nagle drgnął dzwonek. Tak dzwonił on...

I poszłam do drzwi bez myśli.

Otworzyłam. To był on.

Stałam cicho. — Toś ty, — powiedziałam bezdźwięcznie.

Wprowadziłam go do pokoju. Nie trzeba, by wyskoczyły z głowy i z piersi te huczące dzwony i rozdzwoniły na całe miasto, że on wrócił...

Siadłam na krześle, położyłam na poręczu ręce i patrzyłam na jego twarz wesolą...

Tak, udało mu się uciec. Ukrywał się potem. Właściwie, mógł tu przyjechać już od paru tygodni, lecz wpadł do rodziny Magdy na wieś i tam spędził czas tak wesoło, w takim beztroskim lenistwie, że zawiadomić mnie nie miał sposobu. Wolał przeczekać ten nastrój sentymentalny, który się tworzy po każdym udanym przedsięwzięciu. Nie lubi go. W dodatku na razie nie było nic do roboty.

Tak, tak, wszystko w porządku. Już od dwóch tygodni mogłam wiedzieć, że nic mu się nie stało. Lecz



pocóż opuszczać sposobność odpoczynku? Zresztą byłby tu mniej bezpieczny.

Węc słuchałam spokojnie i uśmiechałam się.

Potem poszłam do swego pokoju, zamknęłam drzwi i starałam się nie jęczeć od nieznośnego bólu serca. Zniszczyłaś mię, siło moja. Stłoczona moja rozpacz złamała we mnie potajemną sprężynę życia.

\* \* \*

Andrzej wyszedł bardzo wcześnie. Powiedział, że idzie na Koszykową. Zabieram się bez pośpiechu do odejścia. Miałam jeszcze czas.

Zadzwoniono. Weszła jakaś kobieta, w chustce, z dobrą twarzą.

— Kazano mi oddać tę kartkę — powiedziała.

Trzymałam w ręku pomięty świstek. Pisała ołówkiem, pośpiesznie i niewyraźnie, jedna z naszej organizacji. Zawiadamiała, że jesteśmy śledzeni, że mają dziś jeszcze zrobić w południe rewizję na Koszykowej i na Starem Mieście. Prosiła, aby uprzedzić jak najprędzej.

— Gdzie ta pani? — zapytałam kobietę.

— Wywieziona przed półgodziną do cytadeli.

— Ktoście wy?

— Żona stróża z cyrkułu. Zawołali mię do zrewidowania panienki przed wywiezieniem, to wzięłam kartkę, bo mi jej bardzo żal się zrobiło.

Wyprawiłam śpiesznie kobietę. Jechać, jechać prędzej uprzedzić Andrzeja.

Lecz już wkładając gorączkowo kapelusz, zaczęłam kombinować ognistymi rzutami myśli.

Na Koszykowej był Andrzej i jeszcze drugi. W mieszkaniu nic nie było.

Na Starem Mieście było kilkanaście osób, wśród nich wszyscy kierownicy sprawy. Są przy nich papie-

ry, wielu ma przy sobie broń, a kilku z nich uciekło z obozu jeńców.

Właściwie należy uprzedzić z początku na Starem Mieście... Lecz jak wtrącić własnowolnie Andrzeja do więzienia? Mogą go nie poznać, lecz jeżeli poznają... Cóż mi po nich wszystkich, jeżeli Andrzeja znowu nie będzie?

Lecz jeżeli tam wezmą, na Starem Mieście, wszystko się rozprysnie. Zabiorą tych, którzy mają wszystkie nici w swych rękach. Robota przerwie się na długo.

Co czynić, co czynić?

Ukazała mi się Idea w postaci, jaką odmalował Roman —

Ukazała mi się Idea w postaci Dziewicy Tortur. Byłam na jej łonie, na łonie Ukochanej tak długo, aż w jej wnętrzu, wybijanem ćwiekami, hymn miłości zamienił się we wściekle rżenie męki.

Nie mogę cię zdradzić, ty Cudowna, ty Okropna!

Nienawidzę cię za nieludzką władzę nad moją duszą i nie mogę ci odmówić molochowej ofiary.

Niech ginie szczęście moje — ty, Potworna!

Szybko zbiegłam po schodach i tam zatrzymałam się, jakby nogi wrosły mi w ziemię. Całą istotą rwałam się tam, na Koszykową. Zmagałam się ze sobą i serce moje tłukło się ciężko i męcząco. Przejeżdżała obok dorożka. Zawołałam na nią, wsiadłam i kazałam jechać prędzej na Stare Miasto.

— Może zdązę uprzedzić również Andrzeja — przeżuwałam jedyną myśl krzepiącą.

Lecz zdawało mi się, że każdym obrotem kół, wiozących mię w przeciwną stronę, skazywałam Andrzeja na więzienie, na cierpienia..., a siebie na rozłąkę...

Skupiłam w sobie jednak mocną, chłodną energię, która nie chciała nic wiedzieć o tem zatrzepotaniem, łamiącym się sercu mojem.



Andrzej uznaje tylko ludzi silnych.

Przyjechałam nareszcie. Weszłam prędko, tak prędko, że zdyszana z trudnością wymówiłam:

— Zaraz rewizja...

W kilku wyrazach objaśniłam ich, o co chodzi, znowu wypadłam na ulicę. Uderzyła mnie ta sama smutna twarz dorożkarza z siwym wąsem. Właściwie nie należy brać tej samej dorożki lecz co tam teraz... Byle zdążyć.

— Wieście, co koń wyskoczy, dostaniecie na piwo — powiedziałam do niego.

— Chyba na chleb kartkowy — odśmiechnął się niewesoło.

Dorożka pomknęła. Bat śmigał po zapadłych bokach szkapy i każde śmignięcie boleśnie odzywało się w moim sercu. Łkała we mnie litość bez grainc, i nie wiedziałam, czy nad upadającą ze znużenia szkapą, czy nademną samą, czy nad Andrzejem, który z pogardą przyjmie nowe udręczenie, nowy cios w sam korzeń jego młodości.

Dojeżdżałam do znanego domu i zdaleka ujrzałam, jak do bramy wchodził mały pluton żołnierzy, mając w środku jakiegoś cywilnego, komisarza i zapewne paru żandarmów. Zatrzymałam dorożkę o parę numerów wcześniej. Trzęsącemi się rękami płaciłam dorożkarzowi pieniądze.

— Już zapóźno? — zapytał pocichu dorożkarz, wskazując na bramę, w której znikli żołnierze.

— Zapóźno — odparłam z otwartą i zacieklą rozpaczą, patrząc w twarz prostego człowieka.

Przeszłam na przeciwny chodnik i zaczęłam się przechadzać, starając się utrzymać spokój w ruchach i wyrazie twarzy. Trochę gapiów już się zebrało koło domu, do którego weszła rewizja. Nie zwracano więc na mnie uwagi.

Wyprowadzono go nareszcie. Szedł jak zwykle, z młodą butą na twarzy, w odchyleniu ślicznej, ciemnej głowy i pogwizdywał niedbale.

Wyszli na środek ulicy. Biegłam prawie, lecz nie mogłam nadażyć za szybkim marszem żołnierzy. Długo jeszcze widziałam jego postać wyniosłą, jego ciemne włosy i jedną rękę, którą coraz to poprawiał kapelusz, zsuwający się na wietrze. Ten cudowny zarys jego ramion... Andrzej, Andrzej...

Nie zobaczył mnie i nie wyczytał na mojej twarzy, że to ja oddałam go w ręce Niemców, że to ja wolałam nędzną abstrakcję sprawy od jego młodości, od jego zdrowia, od jego życia...

I znikli na koniec w ciemnej bramie, a ja zostałam na ulicy z przeraźliwą, wyjąca pustką w duszy.

— Trzeba przynajmniej zniszczyć rzeczy, kompromitujące Andrzeja — pomyślałam. — Mogą przyjść i tam, gdzie Andrzej jest meldowany, i zabrać mnie. Lecz mniejsza o to.

Przyszłam do domu i obeszłam jeszcze raz te ściany, gdzie było trochę szczęścia i nierównie więcej męczarni.

Niech będzie błogosławiona nawet męczarnia, gdy z jego wyszła ręk!

Schowałam jego broń tak, że jej znaleźć nie mogli. Biorąc rewolwer do ręki, poczułam jakby muśnięcie tej dłoni, która go tylekroć ujmowała.

I naraz wzdrygnęłam się: — Nigdy więcej...

Zaczęłam palić papiery, plany.

Znalazłam w jego szufladzie jakąś fotografię i długo nie chciałam spojrzeć na nią.

Przemogłam się wreszcie. Była to fotografia Magdy. Na niej stał napis:

„Miłemu Panu Andrzejowi za wiele dobrych chwil, spędzonych razem...”



I stała data pobytu Andrzeja na wsi u niej.

— Może Andrzej już mnie nie kocha, może kocha  
Magdę — pomyślałam i uczułam, jak wszystko się  
kruszy i nicestwieje.

— Wszystko jedno, byle on był szczęśliwy —  
pomyślałam z wysiłkiem. — Może ta fotografia jest  
droga dla niego, trzeba ją schować.

Schowałam ją razem z rewolwerem.

Dopałały się w piecu kartki ostatnie. Zamknęłam  
drzwiczki.

Teraz mogę już iść.

Zadzwoniono dyskretnie.

Wiedziałam już, o co chodzi. Poszłam do drzwi,  
śmiejąc się z cicha. Niech zabierają, niechaj...

— Wszystko w porządku — rzekłam do Niej,  
salutując jak żołnierz.

We drzwiach ukazały się bagnety.

\* \* \*

Długie, długie godziny więzienne...

Staje życie całe, jak dokuczliwa zmora i wie-  
dzie za sobą szereg rzeczy — niewykonanych,

Zabrakło sił...

A możeby wystarczyło, gdyby jeszcze jeden wy-  
silek ostatni, nad własną miarę?

Idzie szereg czynów niedokonanych.

A za nimi ciche, uporczywe zwątpienie.

Andrzej już mnie nie kocha.

Budziłam się na tapczanie i, obejmując wzro-  
kiem czarną do połowy ścianę więzienną, uczuwałam  
codziennie bolesny skurcz serca.

Czasem jeszcze wpółsenna już czułam to zawie-  
szone nademną nieustanne nieszczęście. Jak płachta  
czarna, zakrywająca okno i z niem widok wiosennej  
pogody, powlekło okrag mego widzenia. Zapomina-  
łam o nim na chwilę, lecz ono było i trwało, wszcze-

pione w duszę, jak nieuleczalna choroba, która nie  
ustaje, chociaż ustają doskwierające bóle.

Andrzej mnie nie kocha. Zbyt pragnęłam jego  
miłości, by w nią uwierzyć.

Była pewnego razu młodość moja beztroska i  
huczająca, jak strumień wiosenny.

Przyszedł nieugięty człowiek i wypił ją całą, jak  
puhar oszalamiający. Za to poieżnie, wspaniale wy-  
mierzył w przyszłość cios — przez moją pierś...

Wypił w jednej chwili młodość moją.

I odszedł.

I zostałam, jak puste łóżysko, w którym nic nie-  
ma, prócz zmurszałych liści i kamyków. Każdy ka-  
myk — to stężała na wieki, nie wyplakana nigdy łza  
żału.

Dość pomyśleć mi o tem — i czuję się odrazu ze-  
starzałą, złamaną w sobie i chorą.

Za to on jest silny — on, którego nóg nie oplą-  
tała moja miłość.

Była pewnego razu młodość moja beztroska...

I dała się zdeptać, aby stał się czyn...

Lecz wszak świat nie kończy się na tem.

Odeszło szczęście — została prawda.

Prawda życia mego, prawda podnoszenia mie-  
rzyw ludzkiej do godności ducha.

Więc nie trzeba nie skazić czystej linji życia.  
Przypadkiem chwilowym było szczęście.

A ona zostanie nazawsze. Prawda surowa, wiel-  
ka i prosta.

Przyjdź do mnie, pani i piastunko moja.

O zmroku tysiącem westchnień oddycha więzie-  
nie.

O zmroku zabójczy, beznadziejny smutek spły-  
wa przez kraty z dalekiego, poblądnętego, niewidzial-  
nego nieba.



I wtedy przychodzi ksieni w szatach brunatnych. Bose jej stopy nieznannej piękności i ręce przedziwne. Pod woalem głęboko narzuconym kryje się twarz. Przeczuję ją — lecz teraz nie wolno odgarnąć zasłony z jej twarzy.

Siada przy mnie i ręce przedziwne i słodkie kładzie na umęczonej skroni.

— Dasz wytrwać do końca, prawdo?

Milczy, lecz dotknięcie rąk czarodziejskich staje się jeszcze miększe, jeszcze bardziej kojące.

Przyciskam do nich wargi i budzę się, dotykając wargami krawędzi tapczanu.

Będę żyła bez miłości i szczęścia. Będę żyła, jak drzewo porażone piorunem i zwęglone, a jednak wypuszczające świeże pędy.

I nawet się uśmiechać będę do smutnych...

Chwilami schodziło ku mnie pstre i udzwonkowane złudzenie. Przechylało się, jak wesola dziewczyna z jarmarku. Szeptalo wiśniowemi ustami:

— A może to wszystko czuje podejrzania? Może on kocha, kocha i w milczeniu jego jest cud przywiązań? Wszak Magda mogła mu być tylko przyjaciółką serdeczną. Zapytaj, zapytaj, przemów, i skończy się wszystko. Będziesz przynajmniej wiedziała.

— Lecz on mi nie dał nawet prawa się pytać — rozmyślałam dręcząco i długo — nie dał mi prawa do swego życia i do swej duszy. Nie darował mi swego serca na własność. Mogę tylko przyjać to, co mi daje sam. Może pytanie go oburzy i wtedy odejdzie już bezpowrotnie, już ostatecznie.

Wiedzieć za wszelką cenę — wiedzieć choćby najgorsze — lecz wiedzieć, wiedzieć...

Czemu, kiedy był przy mnie, nie przekonałam go, nie wmówiłam, że małżeństwo jest związkiem wiekiustym — a idea nie rozdziela, lecz łączy?

W godziny północne i bezsenne krzyczałam krzykiem duszy tak potężnym, że powinien był przedrzeć się przez mury, przez oddalenie, dosięgnąć go i zmusić do odpowiedzi.

Czyż takie wołanie, czyż to myślenie miłości na śmierć i życie, czyż ten jęk mego milczenia mógł się rozproszyć bez echa w przestrzeni?

Zdawało mi się czasami, że lekki powiew przynosi skądś upewniające całowanie miłości.

Któż mię przekona, że milczenie nie kłamie?

Wiedzieć chciałam i zawczasu przygotowałam duszę, by dla niej upragniona wiedza nie była ciosem gilotyny.

Oto mogę dźwignąć najgorsze...

Lecz niech przyjdzie w końcu odpowiedź, niech nie będzie tej niepewności...

Żaden głos nie przebijał murów jego więzienia i mego więzienia...

Trwało to długo.

Trwało to bardzo długo.

\* \* \*

Otworzyła się przedemną czarna furtka.

Oto szeroka ulica. Minęłam pierwsze patrole, krążące dokoła więzienia.

Oddycham zapomnianem, świeżem powietrzem i czuję rozkoszny zawrót głowy, jak po upiciu się tęgim winem.

Przyszła wolność, gdy już tępa obojętność pióro po piórze wyrwała skrzydła oczekiwaniu.

Chcę się cieszyć mocno i nagle i nie mogę.

Zaledwie jakieś wymęczone, bolące bicie serca.

Tu będzie kres niepewności nieskończonych miesięcy. Rzucę śmiało pytanie, którego nie chciałam powierzyć kartce, przesłizgującej się przez wielką rękę.



Andrzeja pewnie już wypuszczono. Po zniszczeniu przezemnie dowodów obciążających, nie mogli wytoczyć mu sprawy. Trzymano nas długo, w końcu wypuszczono na skutek starań usilnych przez osoby wpływowe, umiejące trafić do Beselera.

Zobaczę go pewnie może już zaraz, może za parę godzin. I serce mi zamierało i stygło.

Przyszłam do znanego mieszkania. Siedziała tam już Magda, Henryk i jeszcze parę osób.

Przywitano mnie serdecznie. Nie byłam w stanie oddać Magdzie pocałunku.

Błąkałam się po mieszkaniu, dotykając, jako rzeczy nieznanych i nowych, albumów, ładnych książek, kwiatów w wazonie. Zdziwione kroki potykały się o przestrzeń, dziwiąc się, że tu obszerniej niż w celi.

Kiedyż przyjdzie, kiedy? Może wyjechał, nie doczekawszy się mego wypuszczenia?

Skurcz chwycił mię za gardło i nie mogłam się zapytać.

Czemu nikt sam nic nie mówi? Może odgadli, że Andrzej już się oddalił odemnie, stał się obcym?

Konające serce wzdychało postokroć do opuszczonej celi, by już nie być tak blisko od nieszczęścia, tak blisko...

Nareszcie przyszedł Andrzej.

Przywitał się ze mną bez czułości. Nie lubi jej okazywać przy ludziach. Był ożywiony i wesoły.

Dziękował gorąco za starania w jego sprawie Magdzie, która wkrótce odeszła, śpiesząc się dokądś, jak zwykle.

W toku rozmowy Henryk zauważył:

— Nie wiecie, ile jej jeszcze zawdzięczacie. Wszak ona, dowiedziawszy się o waszem aresztowaniu, wpadła do waszego mieszkania i oczyściła je, narażając się na wpadnięcie w ręce policji. Dzięki te-

mu, jesteście teraz z nami. Nie przyznaje się do tego przez skromność, ale któżby to zrobił prócz niej?

— To dzielna kobieta — rzekł Andrzej. — A gdzie aresztowano Wandę?

— Zdaje się, że was aresztowano na ulicy, po wyjściu z zebrania na Starem Mieście, przynajmniej tak mówiono? — zapytał Henryk, zwracając się do mnie.

Odpowiedziałam twardo:

— Tak, aresztowano mię na ulicy, po wyjściu z zebrania na Starem Mieście.

Czytałam z twarzy Andrzeja, czekałam jego słów o brzmieniu odmiennem i głębszem dla mnie. Może nie chce nic okazać przed ludźmi?

Nareszcie zostawiono nas samych. Wszyscy rozeszli się, obiecując wrócić wieczorem na herbatę.

Siedziałam w zacisznym kącie, wsunięta w fotel, między dwiema palmami. Naprzeciwko wisiał obrazek, wyobrażający króla Edypa, wydzierającego sobie oczy nad trupem Jokasty. I postać Edypa, wbijającego klamry w oczy kurczowym, bolesnym ruchem, mimowoli wchodziła w moją rozdwojoną uwagę, i ręce chciały się podnieść w takim samym gwałtownym rozpacz...

Andrzej chodził po pokoju, paląc papierosa. Biegł za nim mój wzrok, oszalały z miłości, rozkochany w każdej linji jego męskiej postaci.

Po kilku minutach rzucił papierosa i usiadł naprzeciwko mnie, zaczynając rozmowę.

Nie ja, miłość moja niepokonana wyszeptwała:

— Twoja głowa, twoja ciemna głowa...

Zrozumiał. Pochylił głowę pod mój pocałunek. Sam rękę moją do ust przycisnął.

Potem odsunął mię lekko.

— Teraz dosyć. Teraz już tylko Polska... Teraz tego już więcej nie będzie — rzekł energicznie i znów



zaczął mówić o nowych projektach przedarcia się do Bobrujska, pod Kaniów, nad Marnę... Zjednoczyć wszystkie wojskowe formacje Polski... Utrzymać każde... Przyjdzie chwila... Już idzie...

A we mnie powoli, bezpowrotnie, z bólem, który nie zna wyrazów, umierała młodość moja.

Zapadałam w otchłań, z której już niema zmar-twychwstania.

Zaczęli się znowu zchodzić. Zawołano nas na herbatę.

Gospodyni domu, jasna pani Stanisława, nale-wała herbatę i cieszyła się szczerze, że oto nas dwoje już jest na wolności.

— Czemuście tacy bladzi, Wando? — zapytała.  
— Żle wam bardzo zrobiło więzienie.

A we mnie wszystko wołało z rozpaczą:

— Jedno słowo, jeden uśmiech dla mnie! Cóż nas obchodzą ludzie, coż cały świat dla mego stru-dzenia, które już czekać nie może?

Wreszcie w sercu zrobiło się nieznośnie i strasz-no. Ból i zamęt przesłonił na chwilę pamięć.

Potem leżałam na otomanie, przestraszona pani Stanisława z ruchami wdzięcznej, łagodnej łani krzą-tała się koło mnie, a wszyscy mówili przyciszonym głosem.

Henryk mówił:

— Niewiastę widocznie bardzo zmęczyło więzie-nie. A i na wolności orała, co sił starczyło. Musi ko-niecznie, koniecznie wypocząć.

Zauważyłam, że nie było Andrzeja, i zapytałam, dokąd poszedł.

— Po doktora — odrzekła pani Stanisława de-likatnie i uśmiechnęła się z dobrocią.

Przyszeli z lekarzem. Badałam uważnie twarz Andrzeja. Spokojna i surowa. Nie obeszła go moja słabość.

Lekarz zalecił wieś, odpoczynek i przepisał ku-rację. Po jego odejściu naradzano się gwarnie, co ze mną zrobić, skąd wziąć pieniędzy na kurację. Było mi wszystko jedno, co ze mną się stanie.

Andrzej powiedział stanowczo:

— Mam tam gdzieś kawał ziemi na kresach, któ-rym zarządza stara ciotka, bardzo mi oddana kobie-cina. Wanda pojedzie tam i będzie siedziała, aż wy-zdrowieje.

— I wtedy wróci do nas — dorzuciła pani Sta-nisława.

— Czasy mogą się zmienić na lepsze — rzekł Henryk z zapalem — wtedy wszyscy będziemy zdrow-si i wtedy będzie nam wolno odpocząć.

— No, wtedy będzie jeszcze więcej roboty — wtrącił Andrzej surowo.

— Tak, ale wtedy przyjdą nowe siły i zluzują nas na krótką chwilę spoczynku — rzekła podeszła już Marta, zwana „babcią“.

— Więc za parę dni, przyszedłszy do siebie, po-jedziesz do Lipowa? — powiedział Andrzej tonem, nie znoszącym zaprzeczenia.

Skinęłam głową.

Nie mogłam teraz pracować.

Było mi wszystko jedno.

\* \* \*

Jechałam przez wieś po kamienistych drogach, i psy wielkie i głodne ujadały za mną.

Małe ogródki włościańskie stały po deszczu w kropkach nieoschłych. Migotał w każdej kropelce pro-mień bladego, znużonego słońca, z trudnością przezie-rającego przez chmury.

Zdaleka ze wzgórza ukazało się olbrzymie je-zioro.



— To już tu zaraz nasze Lipowo — rzekł woźnica, odwracając się z kozła ku mnie.

Wjechaliśmy olbrzymią aleją lipową ku dużemu dworowi, od którego wiało zgrzybiałością i pustką. Róże na klombach widocznie oddawna rozrosły się w dziki gąszczar, nie pielęgnowany ręką ludzką. Ganki wspierały się na czterech słupkach, z których jeden spróchniały w połowie ugiął się i groził upadkiem. Dach już zbyt głęboko nasunął się na okno, jak zmarszczone od troski brwi na oczy. Furtka koło domu, prowadząca widocznie do ogrodu, była czarna od deszczów i miała zardzewiałą klamkę, tkwiącą w niej, jak uschła, pokurczona dłoń ludzka.

Dzwonki brzęknęły na koniach raz jeszcze i umilkły. Stanęliśmy przed gankiem.

Wyszła służąca — staruszka o miłej i surowej twarzy, w białym czepeczku, uśmiechająca się bezzębnymi ustami. Zaledwie zdążyła wyjąć z powozu moje rzeczy, gdy już na ganku ukazała się wysoka pani, z siwizną pod czarnymi koronkami na głowie, w czarnej sukni, odbijającej głęboko od białego kołnierzyka koło zwędłej, niegdyś cudownej twarzy.

Wyciągnęła ku mnie dłoń ciepłą i suchą i przyciągnęła życzliwie, z macierzyństwem długo zahamowanym i próżno szukającym ujęcia.

Buchnął szalony żal, niecierpliwe pragnienie, by na tej piersi życzliwej wypłakać wszystko, co nie śmiało dotąd przejść w słowa.

Podniosłam wzrok ku jej twarzy. Patrzyły na mnie tak piękne, takie podobne oczy Andrzeja, tylko przyćmione, tylko powleczone cieniem tragicznym od jakichś mogił, od jakichś ciosów, z których już dusza nie zmartwychwstaje.

Te oczy Andrzeja, nieodwołalnie potępiające każdy objaw słabości...

— Pani jest bardzo podobna do Andrzeja — powiedziałam spokojnym głosem. — Czy pani jest jego bliską krewną?

— Jestem siostrą rodzoną jego matki — odparła czarna pani. — Czyż Andrzej nie mówił ci o tem?

— Nie, wszak pani wie, jak mało wogóle Andrzej mówi o sobie i swoich stosunkach.

— Tak, to prawda — odparła czarna pani z westchnieniem i poprowadziła mnie przez szereg pokojów na obszerną werendę.

Werendę okalał zewsząd ogród z drzew odwiecznych, a u stóp jej łagodnie, ledwo dosłyszalnie pluskało ogromne jezioro.

Znużone słońce zwolna zapadało w wodę, kładąc na niej matowe promienie.

Patrząc na ciche piękno dokoła, myślałam, że gdyby przyszła upragniona pewność, że gdyby Andrzej, który po wyjściu z więzienia nie wspomniął ani słowa o naszej miłości, stworzył mi znowu ramiona, jak dawniej, wtedy mogłaby zakwitnąć na nowo młodość moja...

Radosna, szczęśliwa młodość moja.

Zastawiono nam herbatę na werendzie.

Czarna pani, patrząc na zachodzące słońce, mówiła dalekim, zawoalowanym głosem:

— Odkąd Andrzej poszedł w świat, budować Polskę Niepodległą, siedzę tu i strzegę jego gniazda.

A dla siebie strzegę kilku mogił, które tu są na końcu ogrodu, przy kapliczce.

Codzień patrzę, jak nad wodą zagasa słońce.

Tak zagasają codzień dni moje.

Taki smutek jest w odejściu gasnącego słońca.   
bie.

Bo odchodzi samotne, zanim gwiazdy wzejdą na nie.

Dlatego takim bólem przedgonnym się krwawi w godzinę zachodu.



Dwa pokolenia ginące przeżyłam.  
Lipy szumią za oknami w długie noce.  
Lipy skrzypią wśród wichury żałośnie.  
To jest skrzyp szubienic... Jezus Marja!  
Kiedy tamci dawno siedzieli w kazamatach —  
Kiedy Andrzeja wepchnięto w żywy grób — wtedy,  
do fortecy na wyspie —

Wtedy skrzypiały te drzewa — skrzypiały strasznie,  
skrzypiały ponuro.

I zdaje mi się, że ustanie ten szum i skrzyp złowrogi —

Że przestaną płakać fale jeziora i zapluszczą,  
wesoło —

Gdy Andrzej wróci do gniazda, wróci szczęśliwy,  
by tu odpocząć w miłości, w której odnajdzie swoją  
młodość, roztrwonioną rozrzutnie, rozdarowaną  
światu.

Takbym chciała, by to nastąpiło na koniec! —

Zapadł już zmierzch. Czarna pani zaprowadziła  
mnie do pokoju, przygotowanego dla mnie.

— Tu mieszkał Andrzej, kiedy przyjeżdżał ostatnim razem przed dwoma laty. Wszystko nietknięte,  
tak jak pozostawił. Sądzę, że tu ci będzie najlepiej,  
bo dom nasz popada w coraz to większą ruinę  
i mało jest ciepłych pokojów.

Pożegnała się i odeszła.

Wionęła na mnie oddalona, zmętniała, lecz żywa  
obecność Andrzeja. Coś, jak przypomnienie ranka,  
gdy, mieszkając razem ze mną, obudził się i wyciągnął  
do mnie rękę.

Oto na biurku rzucone pióro, zmięta koperta z  
rozpoczętym adresem, otwarta książka „Król Duch”  
Słowackiego. Więc on to czytał? On, co wyśmiewał się  
z poezji, jako z antytezy czynu?

Może pod surową powierzchnią jego nieprzystępnych  
słów kryje się to wszystko, czego nigdy nie chciał  
mi dać? Może kiedyś odłoży w dzień cudu pancerz  
i hełm i obejmie takim bezmiarem długo tłumionej  
pieszczoty, że w niej roztopi się pamięć cierpienia?

Nie może to być. A gdyby — wszak mi wszystko  
jedno.

Przerażenie drgnęło w piersi.

Kiedy to się stało, kiedy?

Nie, nie, to mi wydało się tylko. To już przecho-  
dzi — wszak nie może mi być wszystko jedno.

Krzycz głośniej, duszo, krzycz, by nie oniemieć!

Położyłam się do łóżka.

Szumiąły stare lipy i skrzypiały na wietrze.

Nie, to nie skrzyp szubienic.

Cóż w nim strasznego?

To łkanie konającej młodości, która już w zmar-  
twychwstanie nie wierzy.

Szumią stare lipy, szumią i skrzypią na wietrze.

Szumią długo, szumią bez końca...

\* \* \*

Codzień chodzę po długich, szumiących alejach  
starego ogrodu.

W nieskończoność się ciągną aleje tęsknoty.

Wylatuje po nich czujne oczekiwanie. I wraca,  
i kładzie się cicho, by chwilę nadchodzącą oszukać,  
by jej natężeniem rwącym nie spłoszyć.

Trzeba, by nie było już raz oczekiwania.

By nie było go nigdy.

Wtedy będzie źle. Wtedy znowu można będzie  
spokojnie wejść na boisko dokonań. I ręki, naciągają-  
cej cięwę, nie szarpnie nagłe przypomnienie.

Trzeba w sobie pamięć wytracić.

Idę po nieskończonych alejach i czujnie przytrzy-  
muję oczekiwanie, jak ogara na smyczy, niecierpli-



wego, szarpiącego się do skoku, by opanować zdobyć swoją — dal.

Dal jest czemś, co ciągle się otwiera i czego nigdy uchwycić nie można.

Niechże wejdzie we mnie i napełni każdą moją chwilę. A tak nie będę nigdzie i nie znajdzie mnie ból.

Doszedł pewnego razu do mogił przy starej kapliczce.

Na pomnikach granitowych, ozdobionych cierniowymi wieńcami, wyryty był rok 1863...

W kapliczce na małym ołtarzu stał duży krucyfiks. Chrystus o głowie, wzorowanej na obrazie Guido Reni, wyciągał ręce przebite, i potwornie-cielesne spływały z nich krople krwi, sączyły się dwiema smugami z nóg skrzyżowanych.

Mignęło niejasne wspomnienie, owiane dziwną wonią dzieciństwa. Tak, tam na wsi stała też kapliczka na wzgórzu w ogrodzie, pod którym był parów pełny przylaszczyk. I tam był taki krucyfiks. Udręka niezrozumiała, litość bez granic po raz pierwszy wstrząsnęła sercem dziecinem.

W snach się jawił potem biedny Jezusek, którego skrzywdzili żydzi, potworny swą męką, wzniosły w nieruchomości cierniowego wieńca. Wierzyłam, że posąg na krzyżu jest prawdziwym ciałem Chrystusa, owego Jedyne, Ukrzyżowanego, a nie wizerunkiem.

Usiadłam na progu kaplicy, nawprost krucyfiksu. Podniosłam wzrok na jego twarz, znajomą, witając rzecz drogą, niewygasłą w pamięci.

Ciebież to chciałam wygnać w dniach zwyczajnych, symbolu ofiary? Tyżeś to rzucał cień swej męczarni na życie słoneczne, wyzwolone z pamięci Golgoty?

Cierpisz w każdym stawie storturowanego, powykręcane go ciała. A niema w twym cierpieniu mro-

ku i chaosu i jęków nikczemnych. Przebóstwienie jest w twojej męce.

Bo męka twoja stała się pięknnością, a tak zamieniła się w szczęście.

Patrzyłam w Niego długo i z wolna powstawała we mnie możliwość wiecznotrwałej męki. Zdawało mi się, że to ten sam Chrystus, który skonał kiedyś na Golgocie, i który, zmartwychwstawszy, zawisł na nowo w kapliczce, we wsi polskiej. Bo od promiennej chwały ukojonej i radosnej wołał piękno i melancholję swojego bezkresnego bólu i ofiary. Nie chciał wyjść poza chwilę najwyższej osiągniętego piękna w momencie najwyższego, przewyżzonego cierpienia.

Uczę się od Ciebie, Chryste, Chryste, słodkie, znalezione w długich bezprzylutkach imię...

W obłąkanem szarpaniu się szukając pewności i odpowiedzi, chcę tak na zawsze pozostać bez odpowiedzi.

Chcę tak na zawsze pozostać w mej tęsknocie i oczekiwaniu, które zmienia się w cichą melodię piękna.

Oniemieje i skona zdolność do szczęścia. Lecz nie zginie zdolność do ofiary.

I nie zabije miłość nieszczęśliwa mego dumnego życia, nie rozdepcze przeznaczeń moich.

Chcę zwyciężyć miłość, by nie stała się życia duszą.

Wpatruję się w twarz Chrystusa, siedząc na progu kapliczki, objawszy kolana rękami i kołysząc się rytmicznie z przypływami i odpływami ściskającej się woli.

Odchodzę wtedy, gdy czuję, że coś we mnie już oniemiało i opadło, że miejsce płomiennego pragnienia zajął cichy, bezdenny smutek i rezygnacja.

\* \* \*



O zmierzchu gra czarna pani, czarna w swej szeszczącej, jedwabnej sukni, odbijającej głęboką czarnością od białego kołnierzyka.

Gra delikatnemi, długimi dłońmi, które są gorące i suche.

Bieleją te dłonie na pośliskłych klawiszach, to wyraźne i ludzkie, to nieuchwytnie, widmowe.

Cienie wieczorne, wchodzą jeden po drugim, skrzydlate, bezlice i zatapiają ogromny salon, owiewają i zgęszczają barwy na poczerwiałych obrazach.

Siedzę przy oknie, wychodzącym na jezioro.

Spadzistość brzozy porastają drzewa. I szumią, szumią...

A jezioro płacze i płacze.

Samotna, mała brzoza w przerwie między drzewami, samotna na tle bladego, zmierzchającego nieba i matowej, stalowej tafli wody —

Samotna mała brzoza ugina się na wicherze.

Czarna pani gra przy fortepianie długie, przeraźliwie smutne szopenowskie melodie.

Smugi tęsknoty rozchodzą się po pokoju, jak kadzidłane dymy. Siedzę w zmierzchach i tęsknotach i czuję bolesne aż do rozkoszy zamieranie serca.

Długie, przeraźliwie smutne szopenowskie melodie...

Nie chodzę już teraz do kaplicy, bo mię to męczy. Leżę na szesłongu przy oknie, wychodzącym na ogród. Twarz Chrystusa i jego udrecone, sino-białe ciało ciągle stoją mi w oczach, realne, żywe. Zatapiam się w patrzenie, przeżywam z Nim chwilę najwyższego cierpienia, które się zamienia w piękno najwyższe.

Kto mówił przed wiekami, że w szczęśliwej miłości objawia się moc i słoneczność, które światy dzwigają?

Ktoś mówił przed wiekami...

Szumią drzewa, szumią bez końca drzewa.

I już nie męczy się dusza, słuchając tego szumu, tego pojęku nieziszczonych pragnień, tego upajającego smutku...

Bo dusza moja jest wewnątrz tego szumu.

Bo ten szum — to własny głos mojej duszy.

\* \* \*

A tymczasem w kraju dojrzewały siły. Szły wypadki dziejowe.

Gruchnęła wieść o wypędzeniu Niemców.

Przeszedł list od Andrzeja.

Trzymałam go w ręku i myślałam, że jeżeli jest w nim słowo oczekiwane, to cała praca moja na nic i że uśmiechnie się Chrystus bolesny i przeobrazi się Jego wieniec cierniowy w glorję słoneczną.

Długo nie mogłam otworzyć listu.

Wreszcie otworzyłam ostrożnie.

Andrzej pisał:

„Zdziwisz się pewnie, Wando, że już wróciłem z zagranicy. Zdażyłem objechać duży szmat kraju, wszędzie nastrój jest jak najlepszy. Nie lubię prognostyków, lecz zdaje mi się, że tym razem sprawa Polski na forum międzynarodowym zwycięży. Mamy dużo roboty, lecz i sił tak wiele, że możesz wypocząć w Lipowie, nie robiąc sobie wyrzutów. W ostatnim numerze „Jutrzni” był cudowny artykuł, uzasadniający nasze stanowisko. Wywarł wielkie wrażenie nawet w sferach nam nieprzyjaznych. Magda pracuje razem ze mną i dzielnie się trzyma. Pozdrawia cię przezemnie. Szkoda, że nie masz takiego żelaznego zdrowia i takiej niezamąconej, równej pogody, jak ona. Życzę ci jednego i drugiego.

Andrzej”.



Chrystus z krzyża oderwał przebite ręce i położył je na mocno bijącym, nanowo splomienionem, nanowo oszalałem sercu.

I ukazała mi się Dziewica Tortur o cudownej twarzy i kuszącym uśmiechu. Kryła pod szatą różową, jak obłok zaranny, okropne swe łono, nabijane ćwiekami. Trzyma za rękę mego, jedynie mego Andrzeja.

— Tyś mi go zabrała — zawołałam podnosząc na nią groźnie rękę.

Lecz nagle jej postać, postać różowej Afrodyty przemieniła się w postać surowej ksieni. Habit na niej brunatny. Bose jej stopy nieznannej piękności i ręce przedziwne. Pod welonem głęboko narzuconym kryje się twarz.

— Więc wyście jedno? — pytam zdumionym szeptem.

— Tak. Jedno — odpowiada słodkim głosem ksieni — prawda niezmienna — tak, jedno, ale na tej wysokości dopiero, gdzie wygasa życie.

— Weź mię na tę wysokość — błagam.

— Trzeba przebojować życie, trzeba wytrwać do końca — cicho nakazuje ksieni. — Nie wolno zgasić ognia przedwcześnie.

I kładzie mi na głowie przedziwne, delikatne ręce. To już nie ksieni. To czarna pani, która mi podaje lekarstwo. To czarna pani, moja każdodzienna, długa tęsknota.

Chciałam napisać do Andrzeja:

— Ogień gaśnie we mnie przedwcześnie. Przyjdź i powiedz mi, że mię kochasz. Przyjdź, bo nie mam już sił i to jest ostatni krzyk mojej młodości. Przyjdź i oderwij mię od krzyża, do którego przyczarował mię sino-biały Chrystus w wieńcu cierniowym. Chcę tworzyć w radości, w słońcu, nie w bólu wyrzeczeń. Wrosłam już w swoją tęsknotę, jak w grób. Kocham

Ciebie i kocham miłość swoją do Ciebie i wiem, że w tem jest tajemnica, i wiem, że moc moja w tej miłości. Jeżeli mnie nie kochasz, to dość ci przyjechać, a przemówię taką potęgą, taką łuną pragnienia, taką wonią liljowych, anielskich zachwyców, że obudzę twoje twarde, zaprzysięgłe Idei serce. Ty nie wiesz, że Idea a miłość to jedno. Ty nie wiesz, że wszystko w głębi jest jednym i że dróg jest wiele, a meta dla nich jedna — słoneczna. Nie zabijaj miłości dla prawdy, bo zgaśnie życie! Miłość, dana twojej duszy, jest święta i nie zbudujesz nowego świata na grobie świętości... Powiedz, że mię kochasz...

Lecz nie śmiałam tak napisać. Dostałabym twarzą odpowiedź:

— Wpadasz w jakiś reakcyjny mistycyzm i jesteś słaba. Takiej słabości nie spodziewałem się po tobie. Sądziłem, że jesteś inną...

Nie, nie trzeba tak pisać. Po co? A choćby nawet odpisał: kocham — czyż ma władzę słowo, które zostało wydarte błaganiem?

Napisałam więc do Andrzeja:

— Andrzej — a więc to już zwycięstwo... Tyle lat bojowania.... Aż trudno uwierzyć... Mamy Polskę niepodległą.... Żałuję, że nie czuję się na siłach do pracy, nie mając żelaznego zdrowia tak doskonałej pod każdym względem Magdy, która mi się wydaje czasem raz na zawsze nakreconą maszyną do produkowania wartości społecznych. Przyślij mi koniecznie numer „Jutrznii” z artykułem, o którym piszysz. Co porabia pani Stanisława i Henryk? Boję się, że teraz, w chwili realizacji Polska nie będzie tą, o jakiej śniliśmy.

Pozdrawiam Cię  
Wanda.



I codzień szumiały drzewa.

A czarna pani grała o zmierzchu przeraźliwie smutne, rwące się jak srebrne pajęczyny, szopenowskie melodie...

Lecz mnie już było wszystko jedno.

Już byłam na tej wyżynie, gdzie prawda zrzuca z siebie wielość swych masek i ukazuje jedynie oblicze.

Już byłam na tej wyżynie, na której w oglądaniu Jedyne oblicza wygaś ogień pragnień.

A z nim ogień życia...

Nadeszło zwycięstwo.

Z początku głucha nadbiegła wieść, potem pewnoś.

— To dobrze — myślałam spokojnie i zimno. — Trzeba i mnie wrócić do pracy.

Próbowałam znaleźć słowa, które powiem już obudzonym i podniesionym duchom tym, których przetrwarzałam uczuciem i słowem.

Muszą to być słowa płomienne, upojone, tętniące dalszym pragnieniem czynu i walki.

Gdzież te słowa pełne pragnienia?

Wygaś mój ogień.

Gdzie słowa-pociski, jak je skrzesać z oniemiałej duszy?

Nie, nie mogę już mówić do ludzi.

Zerwany na zawsze ten most ze słów, który był między mną a nimi.

A więc to już zwycięstwo!

Leżę przy oknie i patrzę na wzdymające się fale.

Tak wiele fal.

A wszystkie razem są jednym jeziorem.

Spłynąć chcę w jakieś wielkie jezioro, gdzie nie trzeba własną siłą szumieć i unosić się.

Gdzie dość trwać, a prąd całej falującej powierzchni unosi sam, gdzie chce, we wspólnym ruchu.

Będę taką falą, która obszar wodny powiększa i zdobi jeszcze jednym festonem piany.

Bo jestem bardzo znużona od brzmienia tych uczuć bezsłownych, schowanych na wieki.

Może na dnie jeziora leżą zaplątane w wodorostach i przykryte warstwą mułu zielone i obrzękłe ciała topielców.

Dlatego płaczą te fale.

A we mnie przechowane trupy mych uczuć, które pomarły z głodu, i dlatego w płaczu jeziora jest dusza moja...

Płacz, płacz, faliste, pieniste jezioro.

Mówcie wy, drzewa, i mów ty, wodo.

Stałyście się głosem moim.

Kiedy w alei lipowej ukazał się powóz, wiozący Andrzeja, ujrzałam po raz pierwszy na twarzy czarnej pani radość, jak promień szlachetnej łaski.

Powóz zajechał przed ganek, i ogarnęłam przebudzonym wzrokiem jego ciemną głowę pod czapką wojskową, mundur oficera, szablę... Zdziwiłam się.

On... To było przed wiekami, to było tak dawno.

Andrzej wyskoczył lekko z powozu. Ucałował ręce ciotki. Zwrócił się do mnie.

Wyciągnęłam do niego dłoń przyjaźnie.

A on nagle, porwał mię, przygarnął, przycisnął głowę moją dłońmi do piersi i pieczęcią pocałunku, w którym jest cała wyteżona potęgą miłości, zamknął mi oczy.

Wysunęłam się lekko z jego ramion.

— Przyjechałam do ciebie — mówił Andrzej radosnym, podnieconym głosem — teraz po naszym zwycięstwie wolno mi żyć dla siebie, być sobą. Nie



przestanę pracować, lecz teraz już nie wisi nademną na każdym kroku więzienie i śmierć. Mogę życie moje oddać tobie, nie pociągając ciebie za sobą we wszelkie cierpienia i niedole, nie wiążąc mego serca, któremu nie wolno zasłabnąć w szeregu. Dziś oprócz walki wolno mi uznać miłość.

— Dopiero dziś? — powiedziałam.

Andrzej spojrzał na mnie i zgaśł.

— Ciociu, co się stało z moją Wandą? Cemu ona jest taka inna.

— Cicho, cicho, moje dziecko, to zawsze tak bywa w pierwszych chwilach spotkania — odrzekła czarna pani, posmutniawszy.

— Dziwię się, że przypomniałeś sobie o mnie, — powiedziałam zimno.

— Wando, czyż nie wiesz, czy nie poczułaś nigdy, że pokochałem cię odrazu pierwszą i jedyną miłością? Czyż nie zrozumiałaś, że bojownikom rozharatowywać się nie wolno i że powinni się zaprzeć swych uczuć osobistych? Lecz teraz już po zwycięstwie!

!Odparłam, jak echo:

— Po zwycięstwie.

Wzięłam za rękę czarną panią, by mię zaprowadziła na szesłag.

Położyłam się i wsłuchiłam znowu w szum drzew, odpoczywając w tym żałosnym poszumie, upajając się cierpką, piołunową tęsknotą.

Andrzej ukląkł przy mnie i całował moje ręce, błagając coraz rozpaczniej, coraz beznadziejniej:

— Mów do mnie, Wando, mów, mów!

Poruszył się we mnie jakiś blady żal, że już nic na to nie mogę.

A Andrzej klęczał i błagał coraz ciszej, coraz rozpaczniej.

W końcu podniósł się z klęczek i krzyknął, załamując ręce nad głową:

— Jej dusza oniemiała!

A ja odparłem, wskazując na stare drzewa, kołyszące się rytmicznie bez końca:

— Słuchaj tego szumu. To mój głos.

\* \* \*

Na jeziorze jest burza. Huczą fale.

Drzewa uginają się na wicherze, szum ich zrywa się, jak łkanie, i opada, jak szloch, w piersiach znużonych, a chwilami rozbujany, przechodzi w przeciągłe wycie, w jednostanną, długą melodję stężalego bólu.

Czarna pani gra w swoim pokoju długie, pajęczynne, żałosne, jak brzęk tłuczonych harf szklanych, szopenowskie melodie.

Wielkie granie nieukozonej tęsknoty, w której duszy jest przytulnie i dobrze. Bo sama już stała się tylko tęsknotą.

Leżę na szeslongu i milczę.

Bez końca szumią drzewa i huczy burza.

A Andrzej chodzi po pokojach i w oczach jego błyszczy niezdrowo wiadomość strasznej prawdy.

Andrzej podchodzi do mnie i jeszcze próbuje tłómaczyć:

— Zawsze kochałem tylko ciebie jedną.

Nie mówiłem ci nic, gdy upadałaś w zwątpieniu, bo chciałem od ciebie siły, by czcić cię ponad siebie.

Może trzeba było razem przeżyć i chwile upadku, i słabość, i całe cierpienie z tobą podzielić? Może wtedy dopiero byłoby to małżeństwo? Może lepiej byłoby ci poleć obok mnie w walce, niż ocaleć z sercem złamanym? Czemuż z wiotkiego kwiatu nie miałem uczynić — człowieka?

Nie rozumiałem twojego serca.

Zabiłem w tobie miłość.

A wtedy, kiedy odchodziłem daleko, obudziłem się i zastałem cię zemdloną na progu.



Ucałowałem twoje zimne nóżki i odszedłem, bo mi tak kazało to, co wyższe od nas:

A przed odejściem nie chciałem mówić z tobą, by cię nie przestraszyć.

Zostałem na wsi u Magdy, bo byłem ranny. Przyjechałem jeszcze chory i nie chciałem ciebie martwić.

Wiem, żeś to ty mnie ocaliła, trafiając samą do więzienia. Wielbiłem cię za to, żeś mnie wydała w ich ręce, i żeś dumnie milczała o tem.

W więzieniu zdawało mi się, że słyszę twój głos, przez mury, przez oddalenie. Mówiłem: kocham, wytrwaj.

I nigdy się nie dowiem, czy doszedł ciebie mój głos.

Gdy ujrzałem cię na wolności, postanowiłem iść do walczących, na front. Przedrzeć się i dostać do tamtych...

Więc nie chciałem rozdmuchać miłości twojej i mojej.

Za silny to wróg. Bojownika zwycięża.

Lecz trzeba było inaczej, inaczej, inaczej. Odpowiedz!

Milczę. Cóż odpowiem?

— Jej dusza oniemiała, oniemiała na zawsze! — szepcze Andrzej.

Szumia stare lipy, szumia i uginają się na wietrze.

Szumia długo, szumia bez końca...

KONIEC.



## SPIS RZECZY.

|                           | str. |
|---------------------------|------|
| Wazon iryzowany . . . . . | 5    |
| Wąż morski . . . . .      | 32   |
| Wilczy świat . . . . .    | 54   |
| Fazenda w lesie . . . . . | 70   |
| Gest Polki . . . . .      | 81   |
| Po zwycięstwie . . . . .  | 97   |

---

904 str. Razem

71000  
83351 klucze